



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1,20 zł - 8 stron

Warszawa, 1 maja 1953 r.

Nr 18 (162) Rok IV

KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

IDZIE POCHÓD ULICAMI ŚWIATA

Idzie pochód ulicami świata.
Nowe czasy skrzą się na sztandarach.

Samoloty lecą i gołębie.
Trąbi wiatr. A słońce złoci czerwień

Szumia flagi na domach i mostach.
Idzie pochód, a z pochodem wiosna.

W ruchu kół i w ruchu ludzkich kroków
pora nowa jest i pora roku.

Ci, co dziejów zmienili zwrotnicę,
w wielkim marszu idą przez stolice:

twórcy wszystkich użytecznych rzeczy,
dróg i mostów i parków słonecznych,

twórcy poematów i symfonii,
ludzie elektrowni i stalowni,

ci, co czyszcza szkła w latarniach portów,
ludzie sztuki i ludzie transportu.

Tak przez ziemię idą nowe dzieje.
Z każdym rokiem pochód ogromnieje.

Grzeją ręce ludy ciemnione
jak przy ogniu przy fładze czerwonej

i prostują się zdrętwiałe palce
i znów mocne są i służą walce.

A ci, których wróg w serce ugodził,
także z nami idą w tym pochodzie.

Nieśmiertelni. Idą. W naszym kraju
nowe wrasta już w treść obyczaju,

prosto mówi do człowieka człowiek,
wspólną mową, na wspólnej budowie.

O prawdziwym świecie myśl prawdziwa
przydeptane światło wydobywa;

w nałot rzymskich, cycerońskich piasków
źródło bije żywe, pełne blasku;

jeszcze chwila, świat ścisną w objęciach
nasze nowe poetyckie narzędzia,

wykujemy je, sztuce oddamy.
My je w wielkim trudzie wykuwamy.

Ciężarówki wiozą resztki gruzu.
Rzeczywistość — ta jest naszą muzą.

Pochód w jutro wchodzi. Tak się wchodzi
w dom przestronny, w dom szczęśliwych ludzi.



Rysował ALEKSANDER KOBZDEJ

STANISŁAW ZIEMBICKI

POWITANIE MAJA

Witali ciebie ludzie koszulą czerwoną
Od krwi. Za pieśń majową trzeba było płacić
Krwia. Gdy padali z pieśnią na ustach niesioną:
— Głośniej śpiewajcie, głośniej! — wołali do braci.

Witali ciebie ludzie pięścią i z wyklętą
Szli ręką na fabryki, na kolby i bramy.
Mdląca ręka na bruku — pięść była zamknięta,
A w niej czerwony goździk, ciepły, niezłamany.

Witali ciebie ludzie drobnutką wstążeczką
Na więziennym lachmanie. Mówili: choć wąskie
Nasze rąbki czerwone, robotnicze dziecko
Będzie miało z nich sztandar co okryje Polskę.

Warto było kłaść życie na posępnym bruku,
Ażeby bruk obalić i do syna w grypsie
Pisać: „podnieś ten sztandar i ponieś prawnukom”
I nie znać szczęścia, bo go nie było w ojczyźnie.

Towarzysze, dziś pochód wielomilionowy
Wasze niosą ramiona, z waszego westchnienia
Płynie pieśń, aż pomników podnoszą się głowy,
Z kołyski Konstytucji wstają pokolenia.

Dalej syn poszedł. W jego robotniczych rękach
Dzieje. Kieruje nimi jak potokiem stali
Młody wytapiacz, aby praca była piękna
Jak życie wszystkich ludzi którzy je oddali.

Rośnie proletariackie. Prędzej od jabłoni
Ludzie rosną, a kiedy w górę wznoszą młoty,
To przed gniewnym ich blaskiem musi się pokłonić
Świat stary. Pierzcha siostra ciemności — ciemnota.

Dziś sztandar się nie ślania, dziś się nie ośmieli
Nikt zerwać z naszej piersi kokardki skrzydlatej.
O, jakże by się cieszył! Paweł i Marceli,
Jakże pięknie by lśniły oczy Małgorzaty.

Na miarę ich wysiłku trzeba mierzyć pracę
Powszechną, jak na miarę ostatniego boju
Walkę codzienną. Z nami przez majowe place
Idą, w oczy nam patrzą i u boku stoją.

Głośniej śpiewajmy, głośniej gniewną pieśń swobody,
Która ściera granice, pracujących zbiera,
Bo nie może samotne być szczęście narodu,
Piwniczna jest samotność, w niej szczęście umiera.

Niech każdy dzień idący historia zapisze
Jak czyny robotników z rubinową gwiazdą,
Nad którymi się schylał z fajką niewygasłą
Stalin i mówił: „Nieźle, nieźle, towarzysze...”

Pochwała czasu, w którym żyjemy

Był kraj, w którym co szóste dziecko umierało w kołysce, co piąte wyrastało na analfabeta, co czwarte skazane było na bezrobocie. Kraj, w którym politechniki wydawały rocznie 150 dyplomów, to jest tyle, ile przewidywał statystyczny „ubytek naturalny” obejmujący zgony, odejścia na emerytury i... do innego zawodu (inżynierów zarabiających na życie gra na mandolinie w podmiejskich knajpach obejmowała właśnie ta rubryka). Był to kraj, którego politycy najczęściej używali słowa „niepoddległość” ale w pamiętnikach premiera tego kraju można było znaleźć także wspomnienie: „przybył do mnie poseł amerykański Stetson z pretensją, że na hucie „Matylda” należącej do koncernu Harrimana, wybuchł strajk”. Był to kraj rządzony przez pułkowników, ale co drugieo żołnierza wytrącało tam z szeregów cherlactwo związane z chorobami i niedojadaniem.

Długa jest historia tego kraju. Ogromne i nierozumne bogactwo sąsiadowało w niej zawsze z ostępczą półzwierzęcą nędzą. Gdy magnat zjechał na sejm „tak mu wielki dwór w podróży towarzyszył i taka ciżba ludzi z nim jechała, że wjazd do Warszawy trwał dni pięć. Gdy książę Karol Radziwiłł z pałacu swego w Warszawie jechał na sesję sejmową asystenci jego niżej wsiadł do karety już w bramę zamku królewskiego wjeżdżali...” Pamiętnikarz nie potrzebuje nam przypominać co na owych sejmach u schyłku XVIII wieku panowie tak na nie zdążający uchwalałi. Z ich możnej poręki Polska przestawała istnieć. Widzieli

ulice Warszawy pochody inne. Chodziła po warszawskich ulicach historia. Pamiętają one pochody rozbijane szarżami policji. Pamiętają wojska okupanta wkraczające na przedmieścia wzdłuż opłotków mogilnych krzyży w roku 1939...

Różne znała ta ulica pochody... Ale zawsze na pochód sił krzywdy i wyzysku od łzieścieleci odpowiadał on — pierwszy majowy. Dziś idziemy w tym pochodzie przeciw całej historii nędzy i krzywdy. Tym marszem zdeptujemy ślad bezmyślnych raidów bogactwa, ślady ucisku lat niewoli narodowej i społecznej.

Ale nie zapominajmy historii, idąc na pochód, którego dzień jest „kalendarzowym dniem wiosny ludzkości”. Pamięć własnej historii szczególnie ważna jest w dniu międzynarodowego święta. Oprócz wiedzy o naszej drodze do zwycięstwa, przypomina nam o wielu sprawach aktualnych jeszcze w wielu miejscach na świecie. Wprawdzie ulicami Nowego Jorku magnaci nie jeżdżą w olbrzymiej asyście, ale zamiast dworaków mają konta bankowe, w których orszak licznym zer depcze po tysiącokroć roczne dochody obywateli. Wprawdzie po ulicach Paryża nie stukocą podkute buty Wehrmachtu, ale to dla Amerykanie noszą buty na gumowej podeszwie. Wprawdzie w Belgardzie nie płoną ulice i nie trzaskają na nich strzały, ale jest w Jugosławii 400.000 inwalidów — ofiar warunków bezpieczeństwa pracy.

Po upływie 30 kwietnia każdego roku okupacji narodów przez kapitał ich historia otrzymuje z dniem 1 maja pewną poprawkę. Jest to

korekta nadziei płynącej z wiary w przyszłość, z poczucia potęgi tych sił, które są przeciw. Na pierwszą linię klasowej walki naszych uciemiężonych jeszcze braci ciągną pierwszomajowe pochody. Walka to ciężka i nieustająca, choć tocząc się w pokojowych warunkach.

Nam nigdy nie było potrzeba wojny, by udowodnić swe racje. Nowojorski korespondent francuskiego dziennika napisał: „Eksperci amerykańscy stoją z otwartymi ustami wobec radzieckiej ofensywy pokojowej... W ciągu kilku tygodni opinia światowa stała się prawdziwie „malenkowowska”, ponieważ pokój jest pięknym słowem we wszystkich językach, nawet amerykańskim”. Niech nazwisko przywódcy największej pokojowej siły świata przyswieca naszym pochodom. Tylko ci, którzy chcieliby nad nasze dni sprowadzić chmurę wybuchów, od świtu tego dnia stoją przeciw naszym pochodom. Tylko ci, którzy chcieliby na nasze okna zaciągnąć znowu zaciemnienie — stać będą przeciw do schyłku tego wielkiego dnia. Akcja w obronie pokoju jest z natury rzeczy najbardziej międzynarodowa. Świąt bombi brzmi tak samo nad każdym południkiem, jej odlamek przecina identycznie czarr i białą skórę, jedynie pancerna skóra bankowych safesów jest niewrażliwa na pociski.

W przyszłości świata wybiega wielkie hasło tego maja: „Niech żyje pokój między narodami! Nie ma takiej spornej lub nierozwiązanej sprawy, której nie można byłoby rozwiązać w drodze pokojowej na podstawie wzajemnego porozumienia zainteresowanych krajów!”. Ten

pierwszy maj jest pierwszym, w którym wola pokoju narodów wyraźnie górować zaczyna nad „wołą zbrodni wojennych” tych czy innych przywódców świata kapitalistycznego. Rządy krajów satelickich USA zaczynają wylać się spod przewożonego dyktanda. Wielkoduszna inicjatywa porozumienia, jaką podjęły ze wzmoczoną siłą ZSRR i Chiny, stała się prawdziwym „wypowiedzeniem pokoju”. Narodził się Ameryki, Anglii, krajów ujarzmionego kontynentu europejskiego podchwyciły hasło. Potęgą tych sił paraliżuje podlegaczy ośzomomionych tą pokojową ofensywą.

Gdy w czasie podróży do USA komiwojażer wojny Adenauer ożnał, że dostał wieść o urodzeniu się praw...uka, którego pragnie na pamiątkę pobytu w San Francisco nazwać Franz, wiemy, że wbrew zabiegom pradiadka Franz Adenauer będzie żył w świecie nieznanym wojny. Mamy nadzieję, że zła sława nazwiska, które nosi, nie będzie na tyle trwała, by ów obywatel przyszłych zjednoczonych Niemiec musiał się starać o zmianę nazwiska, jako nieprzyzwoitego w brzmieniu.

Przeciw kanclerzowi, który polecał samolotem sprzedawać swój kraj — wyruszy pierwszomajowy pochód Niemców.

Nie bardziej nie oddaje kolosalnej odległości dwóch epok historycznego rozwoju niż słowo pokój, które jak słowo „chleb” stało się symbolem. Oto tytuły nowojorskich gazet na wieść o ciepłych wiatrach nowych pokojowych możliwości:

„Czy grozi nam wybuch pokoju?”

„Panika pokojowa”.

„Co będzie, gdy wybuchnie pokój?”

Tytuły, które mogłyby się u nas ukazać w gazetce ściennej szpitala wariatów, tam są „normalną” reakcją właścicieli koncernów prasowych, reprezentujących wielki przemysł Pokój „grozi” ich ulokowanym w przemyśle wojennym kapitałom, pokój wywołuje „panikę” na ich giełdzie. Stajemy u progu jakiegoś rozdrożnienia znaczeń. Jedne to te, które zna logika człowieka i drugie, które zna logika pieśniadza. Nie myślimy, że to sprawa wyłącznie tego słowa. Przeczytałem w tych dniach, że wbrew powszechnej nędzy rośnie w Japonii „szkolnictwo”. Tojokana, Tászikana — to wdzięczne nazwy nowych szkół... artylerii i broni pancernej.

Szeregi pierwszomajowe zbrojne są w świadomość, że zwycięstwo naszej armii pokoju nie oznacza dla nich spokoju. Czy papiery wytwórni zbrojeniowych zwyczajają, czy lecą na łeb, jednak kurs u fałszywów mają głowy robotniczych przywódców. Faszyści to zawsze zbrodniarze.

Wspinała ofensywa pokoju jaką pokazał ostatnio nasz obóz, stanowi nadzieję świata. Nigdy nie pragnęliśmy innej walki niż ta, której bitewne pole stanowią tereny postępu ekonomicznego, wiedzy, dobrobytu. W związku ze zbliżającą się repatriacją jeńców z Korei Ministerstwo W...n USA wydało oświadczenie, iż „prawie wszystkie z 29.000 listów otrzymanych od jeńców przez ich rodziny w USA zawierały w pewnym stopniu pro-

pagandę komunistyczną”. Deklaracja ta zawierała zaprzeczenie Pentagonu, jakoby miano te listy otwierać, nie zawierało jednak informacji, w jaki sposób zapoznano się z treścią „prawie wszystkich listów”, jeśli nie zostały one otworzone przed doręczeniem. Zamiast tego podano hipotezę, jakoby jeńcy amerykańscy w Korei pozyskani zostali dla komunizmu w rezultacie poddawania ich „męczącym i krzyżowym pytaniom”. W związku z tym chorzy i ranni jeńcy amerykańscy, którzy będą repatriowani w wyniku umowy w Fanmunczon, zostaną naty hmiast po powrocie odizolowani w szpitalach wojskowych. Zostaną tam poułani szczegółowym dochodzeniem dla sprawdzenia ich obecnej orientacji. Nigdy dowództwo amerykańskie nie wzięło tylu jeńców w wyniku działań wojennych. Ale prawdy nie da się zamknąć w więzieniu, ani internować w szpitalu dla nerwowo chorych.

Prawda wychodzi wraz z nami na pierwszomajowe ulice. W krajach uciemiężonych wychodzi z ludźmi idącymi do walki o prawa człowieka — u nas „eka już na nas obciążona w granit nowych warszawskich budowli, w pęd wyprodukowanych u nas sa. ochodów, w maszynach rosnącego nad horyzontem naszego miasta Pałacu Kultury i Nauki, największego pomnika przyjaźni, jaki zna świat — przyjaźni Stalina! Tu, w kraju, który zapomniał o analfabetyzmie i bezrobociu, w którym uczą się miliony a pracują wszyscy, witamy ten wielki dzień: Niech żyje 1 Maja! Niech żyje świat, w którym żyjemy!

Roman Bratny

Reportaż produkcyjny z kraju kapitalizmu

W jednej z najświetniejszych scen swojej trylogii pamiętnikarskiej Gorki opowiada jak tragiczne doświadczenia, które zaopiekowali się nim jako chłopcom, zostają nagle wezwani do pomocy w wyładunku parostalki, tonącego na mielinie; ci ludzie, "podczas burzy, w ulewnej deszczu, wynoszący pospiesznie worki na plecach na ład, zaczynają śpiewać pełnym głosem z radości. Wiele charakterystycznych dokumentów, na temat tęsknoty do pracy w świecie kapitalistycznym, znajdujemy w literaturze amerykańskiej epoki „Wielkiego Kryzysu” (1929–32). W dramacie Alberta Maltza, „Najszczęśliwszy człowiek na świecie”, wystawionym niedawno w Polsce, bohater bezrobotny błąka swoje krewne, kierownika transportu w wielkim przedsiębiorstwie, by dać mu wakuującą pracę szoferą przy przewożeniu nitrogliceryny. Zająęcie to jest świetnie płatne, ponieważ każde uderzenie o kamień grozi eksplozją i śmiercią; nikt tu nie pracuje dłużej niż parę miesięcy — albo ginie, albo opuszcza tę straszliwą robotę po tygodniu, złamany nerwowo. Zarządca nie chce się zgadzić, na próżno bohater opowiada mu o swoim poniżeniu, o cierpieniu swej żony, nędzy dzieci, o beznadziei swego życia. Nie jest to przecie niedojrzałość, ktoś niewprawny czy niedołężny, przeciwnie, Maltz przedstawia swego bohatera jako mężczyznę olbrzymiego wzrostu i potężnej siły — jest to tragedia marnująca się energię. Bezrobotnemu udaje się wreszcie przekonać krewnego — a właściwie zmusić go, niemal fizycznie, za pomocą krzyku i szarpnięcia za ubranie — do dania mu niebezpiecznej pracy, z tym że żona jego nie dowie się o niczym. Widzimy teraz tego potężnego, barczystego mężczyznę, skazanego na śmierć, jak płacze — może po raz pierwszy w życiu — z radości, ponieważ jest, jak wola na całe gardło, bez krzyku i ironii czy gorzkości — „najszczęśliwszy człowiekiem na świecie”.

Tragizm owego marzenia o pracy polega na tym, że jego ofiary, gdy swoją nostalgia zdolają zaspołokować i stają wreszcie za warsztatem — wpadają z kolei w otchłań nowej niedorzeczności — w kapitalizm bowiem praca nie służy ludziom pracy; jej nonsensownym

celem jest przygotowanie wojny, gotującej właśnie w „rolerach”. Tak jest koszt likwidacji bezrobotnych. Gdy czytamy współczesnych ekonomistów amerykańskich, usiłujących polemizować z marksistami, znajdujemy argument, że „program socjalistów uformowany został przed laty, w okresie jaskrawych niesprawiedliwości społecznych, które od dawna zniknęły”. Bezrobotni — piszą ci autorowie, w roku 1953 — należą do przeszłości; to co dzisiaj oglądamy na Zachodzie, jest to, naturalnie, kapitalizm, ale „w nowym wydaniu”, „udoskonalony, demokratyzowany, uzupełniony przez interwencję rządową”. Przyjrzyjmy się zatem, jak wygląda ORGANIZACJA PRACY w tym wspaniałym świecie! Mam przed sobą kilka najświetniejszych dokumentów, ilustrujących życie w czołowych fabrykach francuskich, w centralnym okręgu (Paryżu i okolicy). Są to pamiętniki robotników, wydane przez postępowy instytut „Les éditeurs français réunis”, dalej wznowiona książka autorki katolickiej S. Weil, „Dola robotnika” („La condition ouvrière”), wreszcie zapiski literata Erica Alberta, który spędził dwa kwartały roku 1952 w wielkim, nowoczesnym zakładzie przemysłowym. Są to świadectwa komunistów, katolików, wreszcie umiarkowanego liberala. Wszystkie dowodzą tego samego: że robotnik, w tym „nowym kapitalizmie”, udoskonalonym na wzór amerykański, jest niewolnikiem, wykonującym odruchy których celu nie jest w możności ani zrozumieć, ani kontrolować: że nie tylko nie jest uczestnikiem aktu produkcyjnego, ale mniej niż człowiekiem: częścią maszyny; że nawet kontramistrz, technicy i szefowie biur nie zdają sobie sprawy do czego służą ich prace, której sekret pozostaje w ręku nieosiągalnego dyrektora, właściciela, jedyne superkapitały. My dzisiaj, przyzwyczajeni do rad zakładowych, do współzawodnictwa i racjonalizacji, do systemu angażującego duchowe i umysłowe władze robotnika w procesie wywarzania dla socjalizmu, ze zdziwieniem odczytujemy te dokumenty z „drugiego świata”. W dniu święta 1-majowego, przypominającego że od 60-ciu przeszło lat toczy się walka robotników — „przestarała”, jak twierdzi ekonomista USA — walka, której jedynym rozwiązaniem może być nie „kapitaizm ulepszony w

nowym wydaniu”, ale przejęcie warsztatu pracy przez ludzi pracy. Z okazji tego święta warto zatrzymać się chwilę nad „antologią produkcyjną kraju kapitalizmu”, którą tu w krótkim wyborze podajemy.

PRZEKRACZAM POSEPNY PRÓG FABRYKI

Fabryka, w której pracuję, produkuje druty i kable elektryczne. Zatrudnia ona około 650 ludzi — jak zdołałem się zorientować. Sprawdzić tę cyfrę nieposob, bo statystyki i lista personelu nie są dostępne dla nikogo, poza właścicielem. Uderza dysproporcja między ilością robotników wykwalifikowanych, których cyfrę kierownictwo stara się zmniejszyć do minimum, tych jest około 70 (50 metalowców, 20 elektrotechników, mechaników, ślusarzy, murarzy itp.) — oraz olbrzymią stosunkowo liczbą pracowników niewykwalifikowanych (ok. 580).

Robotnikiem niewykwalifikowanym zostaje się, gdy nie można otrzymać pracy w swoim zawodzie (jest to los wielu moich współtowarzyszy). By nie znaleźć się w ryzostoku — zostałem „O. S.” (francuski skrót oznaczający robotnika niewykwalifikowanego), tzn. eisa roboczą do wszystkiego, dającą się zatrudnić zarówno przy wyrobie drutu, jak lokomotyw czy wiecznych pór. Odtąd należało do mas ludzi, którzy wyzbyli wszelkich cnót rzemiosła, specjalizacji, techniki, utracili oparcie jakie mogłyby dać im ich wymarzony zawód, i żyją z dnia na dzień, z pracy im wydzielonej, której cel jest dla nich nieznany.

Jestem niespokojny, wydaje mi się, jakby chwylała mnie jakaś siła niewidoczna, niezrozumiała, ale wciągająca...

Wchodząc do magazynu, olbrzymiej sali zawalanej skrzyniami, okragłymi paczkami, kablami zwiniętymi niby węże, dziwnymi bębniami ustawionymi na stosach aż do sufitu. Wymijając zgrzeszone paki rozrzucone, wszędzie, docieramy do drugiego końca magazynu. Trzej młodzi ludzie rozwijają czarny kabel. Patrzę na mnie ukradkiem, nie mówiąc słowa. Ta cisza, nieufność, niechęć do wyjaśnienia, panują wszędzie w fabryce, jak się potem przekonałem.

W godzinę potem cały byłem pokryty lepkiem brudem. Mówiono mi: Przynieś to a t! Schodziłem do

składu, na podwórzu, pod deszczem, w błocie. Przetaczałem „bębny” ze zwiniętymi kablami do magazynu, gdzie je paczkowano i nalepiano etykiety. Wszystko to odbywa się w posępnym milczeniu, mówi się tu półgłosem, i z rzadka. Zdania są krótkie: Postaw to tam, albo tam. To było wszystko. Tak więc zostałem robotnikiem.

Mijają dni szare, nudne, jeden podobny do drugiego. Pewnego razu kobieta, która przylepiła etykiety, zapytała mnie co robiłem przedtem. A ona co? Podniosła się, z pędzlem od kleju w ręku, zabłysła jej w oczach: „Jestem tu od

warsztatowych” typu rzemieślniczego. Drugi, nowoczesny, trzypiętrowy, o eleganckiej architekturze, czysty i przejrzysty, zbudowany, o toczony jest trawnikiem z kwiatami. Otóż robotnicy trzymają się z uporem starego budynku i opierają się jak mogą przeniesieniu do nowego. A przecież stare fabryki są brzydkie, brudne, posępne. Ale są one bardziej „wyróżniające”, nie przygniatają człowieka, umożliwiają mu zagospodarowanie się w licznych i zawiłych kątach. Można tu przybić swój własny gwóźdź, by powiesić torbę z chlebem, można ukryć się na chwilę w zakamarku,



Najmłodsze ofiary
Rysunek grafika amerykańskiego Roberta Minora

trzydziestu siedmiu lat! Trzydzieści siedem lat, na tym samym miejscu, w kącie magazynu, nad puszką klajstru!

(Eric Albert)

ROBOTNICZY BRONIA SWOICH UCZUĆ LUDZKICH

Bezdusznego zmechanizowanego pracy doprowadza do dziwnych paradoksów. Robotnicy usiłują obronić resztę swojej indywidualności, swoich sentymentów, swojej ludzkości, wyrzekając się wygodności, jakie przynosi modernizacja, „amerykanizacja” produkcji. Nasza fabryka składa się z dwóch kompleksów budynków. Pierwszy, stary,

zbudowany jest na zasadzie „sal przydzielonych niepostrzeżonym przez ciemne korytarzyki. Łatwo tu zorganizować kącik prywatny: kawałek lustra, kwiatek w szklance po mustardzie, zaimprovizowana szatnia, pusta skrzynia przekształcona w „szafę”. Wszystko to, oczywiście, mniej lub więcej brudne, na tle ścian pokrytych wilgotnym tłem, na klepekach pełnych dołów, wśród obłożonych drzwi i porożbitych sprzętów. Coś z tego — kiedy każdy tu ma „swoje” miejsce, kąt, który przestał być obcy. To przywiązanie do przedmiotów tak nędznych świadczy o chęci walki z warunkami pracy, ponizającymi człowieka. Tę samą postawę obronną wykazują robotnicy, gdy przenoszą się ich do innej hali (nigdy nie pytając ich o zdanie). Przeniesiony, znajduje się on wobec nowych twarzy, obcych maszyn, nieznanych szefów, w innej atmosferze, pozbawiony swojego kąta.

Niechęć do przenoszenia się wzrasta, gdy idzie o budynek nowoczesny. Robotnik znajduje się tu w ramach zimnej, geometrycznej architektury, gdzie staje się niczym, gdzie traci jakąkolwiek możliwość przeciwstawienia się otoczeniu. Tutaj zorganizowano bezlitosną walkę przeciwko ostatniemu próbom inicjatywy ze strony pracownika — wszystko zostaje poddane bezwzględnej strychniowce. Nie ma korytarzyków, kącików, niepotrzebnej przestrzeni; nie ma rozmów ani żadnych narzędzi, stwarzających nastrojów dąbaniny „na własne konto”. Nikt nie zdoła się ukryć przed kontrolą w olbrzymiej hali (150 na 50 m). Gdzieś się nie było, wszędzie jest się dostrzeżonym, w falach jaskrawego światła neonowego. Kontroler, w wielkiej sali oszklonej na wzór strażnicy więziennej, jednym rzutem oka ogarnia wszystko.

(Eric Albert)

„NIE MY OBSŁUGUJEMY MASZYN, ALE MASZYNA POSŁUGUJE SIĘ NAMI”

Konieczność wielogodzinnego stania (nie wolno siadać), pospieszne powtarzanie tych samych gestów, nuda, straszliwa nuda, głuchy lek przed kierownikiem, uczucie że jest się więźniem, w dodatku osamotnionym przy swej maszynie — mimo tłumy w którym się pracuje — wszystko to stwarza nastrojów nie do zniesienia. Hałas w szatni, w momencie gdy po sygnale na znak skończonej pracy robotnicy się ubierają — okrzyki gwizdy, śmiech, udawana walka na pięci i t d — wszystko to nie świadczy o radości, ale stanowi protest przeciwko nieznoszonej ciężkiej atmosferze.

Praca przy maszynie składa się z gestów automatycznego dozoru, nie dopuszczającego inicjatywy, nie wymaga odpowiedzialności. Produkcja zmienia się w czynność anonimową, nie przynosi ani satysfakcji obiektywnej (zarobek!), ani subiektywnej (zadowolenie z „dobrej roboty”). Technicy myślą tylko o maszynach, zaś maszynmy myślą za robotników. Co się stanie z wytwarzanym kablem? Jakże będą następne czynności? Robotnicy nie wiedzą na ten temat nic, systematycznie uświadczani w niewiedzy o tym co było, i co nastąpi w przyszłości. Praca, stając się celem samym w sobie, straciła znaczenie. Nie zaczyna się ona ani nie kończy nigdy, nie konkretyzuje się, jest abstrakcyjna, nikt nie może obejrzeć rezultatu swego wysiłku. Zamiatać ulic, śmieciarz opróżniać kosze, ma większe poczucie swego

użyteczności: widzi czego dokonał, po jego przejściu będzie czysto. Praca robotnika nie zostawia tu śladów. Materia jest, jakby ożywiona w własnym życiu, nie zadowolona nie robotnikowi. Przesuwa się ona szybko przed jego oczyma, i to wszystko. Robotnik nie angażuje się z nią wyłącznie fizycznie. Dofity, przyglądanie się słuch, zrzętność — a także pamięć, i inteligencja — są niepotrzebne. Przede wszystkim inteligencja: jest ona nawet przeszkodą w dobrym funkcjonowaniu fabryki. Wymaga się biernego posłuszeństwa wobec kierownika, bo, jak powiedział niedługo Roehm (zlikwidowany przez Hitlera w r. 1938 szef SA), „Żołnierz, który myśli jest naturalnym wrogiem dowódcy”. Najlepszy robotnik — to niewrażliwy kawał mięsa poruszający się rytmicznie. W ten sposób robotnik niewykwalifikowany (O. S.) osiąga ostateczną granicę proletaryzacji: traci wszystko, nawet prawo by mieć świadomość co robi.

S Weil: Condition ouvrière (Dola robotnicza)

ROBOTNIK I JEGO PAN

Najlepszym stanem byłoby nie odczuwać nic żyć jak zwierzę. Zatrząć swoją osobę. Proć pracy, jeść tylko, pić, spać. Patrzeć, ale nie widzieć. Słuchać, lecz nie słyszeć. Wykonywać polecenia, nie zastanawiając się. Nigdy nie rozmyślać nad przyszłością. Zapomnieć nawet, że istnieje coś takiego jak „przyszłość”. Nabrać przeświadczenia, że liczy się tylko dzień dzisiejszy i że wypełniające go gesty będą trwały do śmierci. I że to dobrze, że tak się dzieje.

Zarządzający fabryką robią, trzeba przyznać, co mogą, by umożliwić i osiągnięcie tego idealnego stanu ducha. Wiedzą oni, że nie mogą być uważani za odpowiedzialnego za swoją pracę (z której zresztą nie powinienem nie rozumieć) i że jestem, instynktownie, wrogiem całej owej organizacji produkcji — dlatego też dołożyli starań, by typ niepewny, „kim jestem ja i wszyscy robotnicy, był należycie dozorowany.

Stworzono więc surowy system kontroli: stałe sprawdzanie kart indywidualnych, czasu przysięgi, wyjścia, chwilowych nieobecności, ruchu na terenie fabryki — bramy są strzeżone, regulamin na każdym kroku, kary pieniężne, (ewentualnie zawieszenie i wydalenie z pracy). Szefem kontroli jest były oficer policji, podlegają mu kierownicy ekip i t zw „pierwsz robotnicy” w każdym atelier. Poza tym, współpracują z nim liczni szpicle, inżynierzy w ręku los robotnika, i z pomocą jednego słowa może go rzucić w otchłań nędzy, wraz z całą rodziną, a dramatyczna możliwość zagrożenia kaźni w każdej chwili. Słyszysz jak ja często sturmoluwaną w ten sposób: „Jeśli ci się tu nie podoba, jest na ulicy dziesięciu lepszych na twoje miejsce”. („La vie dans une usine” — Życie w fabryce”).

NAJMŁODSZE OFIARY

Młodzi przychodzą do fabryki w wieku lat 16-tu; są to synowie proletariatu, sami też będą proletariuszami. Są smutni: ich egzystencja, bezlitosna od dzieciństwa, nie zostawia im miejsca na nadzieję, charakterystyczną młodość. Gdy ich pytamy: co masz zamiar robić po służbie wojskowej? — nie wiedzą co odpowiedzieć, albo mówią: „Wróć tutaj”. To wszystko. Niekiedy zdają sobie sprawę z nędznego losu jakiego ich czeka. Chcieliby uciec; próbują wyrwaną się opowiedział mi mój towarzysz pracy, walczy chłopiec o niebieskich oczach i postawie zrezygnowanej:

— Tu się niczego nie nauczymy. Rzygać się chce od tej roboty. Z jednym kolegą uciekliśmy w dniu wypłaty. Wsiadliśmy do pociągu. — Dokąd chcieliście wyjechać? — Nie wiem. Nie mogliśmy wytrzymać. Byliśmy już daleko, za Aurillac. Ale forsa się skończyła. Kontrolerzy nas zawrócili. — Westchnąwszy dodaje: „Nigdy nie byłem szczęśliwy”. — To mówi chłopiec szesnastoletni. Kiedy indziej zwierza mi się: — Gdy byłem młody (sic!), chciałem zostać policjantem. Oni się dobrze mają. W zimie zawsze marznię.

Inny, młody chłop przybyły wprost z Bretanii, gdzie był przedtem parobkiem, mówi w napadzie przegnębienia:

— Do cholery, całe życie robić to samo...

Nie wiedzą co począć. Opowiadam im raz, jak spędzam sobotę. Młodzieniec o którym już pisałem, mówi mi:

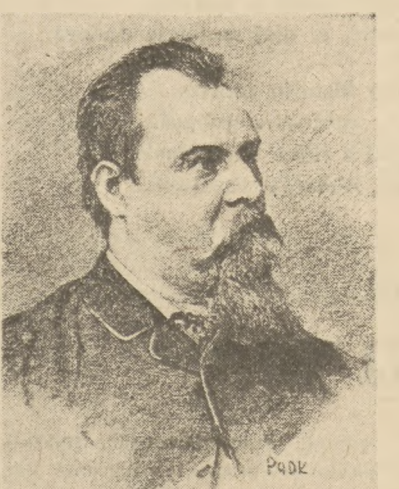
— Ja co innego mnie nie nie chce. Mam wolny czas, to szwendam się — Potrzebuję rozrywki zniknąć. Nikt nie umie zająć się czymś rozsądnym. Czeka się, by niedziela minęła ale przeklina się poniedziałek. „Gdy nie pracuję, nudzę się, gdy pracuję, liczę każdą minutę, gdy wreszcie wchodzę z fabryki, myślę: „Co powinienem zrobić?”

Nikt nie śpiewa ani w fabryce, ani poza fabryką. Żanik tej spontanicznej formy okazywania radości, tak częstej jeszcze przed kilkoma laty, najdobilniej świadczy o tragicznym pogorszeniu „osie proletariatu”. („La vie dans une usine”)

Opracował Zygmunt Kalużyński

JÓZEF KOZŁOWSKI

DZIEJE „CZERWONEGO SZTANDARU”



Bolesław Czerwinski

T trzeciego kwietnia br. minęła 102 rocznica urodzin i 85 rocznica zgonu pierwszego polskiego poety socjalistycznego, autora „Czerwonego Sztandaru” — Bolesława Czerwinskiego (1851 — 1888). Działalność „poety wydziedziczonego, biednych, i nieszczęśliwych” związana była nierozdzielnie z rozwojem ruchu socjalistycznego w Galicji w latach 70 — 80-tych ub. stulecia. Przebudzenie się do życia politycznego galicyjskiej klasy robotniczej, przybycie do Galicji w latach 1875 — 1878 wyślaników polskich kół socjalistycznych z zaboru rosyjskiego: Jana Hłaski, Kazimierza Hilda, Erazma Koturnickiego, Mieczysława Brzezińskiego i innych, a przede wszystkim działalność rewolucyjna na terenie Galicji Ludwika Waryńskiego, przerwana głośnym procesem krakowskim 1880 r. — wszystko to uczyniło z Czerwinskiego żarliwego obrońcę sprawy robotniczej. Pod wpływem tych wydarzeń, pod wpływem bezpośredniego oddziaływania Ludwika Waryńskiego, z którym łączyła go serdeczna przyjaźń, Czerwinski stał się działaczem i poetą socjalistycznym.

Rok 1881 był ważną datą w rozwoju ruchu robotniczego w Galicji. Proces krakowski Ludwika Waryńskiego i towarzyszy, zakończony uwięzieniem i oskarżeniem, stał się porażką polityczną galicyjskich obywateli i kapitalistów. Ożywiła się wówczas ruch socjalistyczny w Galicji. Na tej fali rozwinęła się też działalność polityczna i literacka Czerwinskiego. Jest on wraz z Iwanem Franko i Ludwikiem Intelenderem autorem „Programu Socjalistów Galicyjskich” i „Programu Galicyjskiej Partii Robotniczej”. Oba programy wyrażały żywotne interesy galicyjskich mas pracujących — Polaków, Ukraińców i Żydów.

Czerwinski po dłuższych poszukiwaniach twórczych znajduje wreszcie swoje właściwe miejsce w szeregu klasy robotniczej, jako jej pieśń. W 1881 roku powstaje wielka pieśń, dzieło której imię poety-socjalisty „złżył wraz z pieśnią” — „jak głosi napis na pomniku wzniesionym na jego grobie, „Czerwony Sztandar” stał się hymnem polskiej klasy robotniczej, hymnem walki przeciwko krzywdzie, niewoli i upodleniu „Czerwony Sztandar” stał się ułu-

blona pieśnią proletariatu wielu krajów. „Czerwony Sztandar” był ulubioną pieśnią Włodzimierza Lenina, Feliksa Dzierżyńskiego i Róży Luksemburg.

„DRAPEAU ROUGE” A „CZERWONY SZTANDAR”

Na przełomie lat 70 — 80 wśród polskiej młodzieży studenckiej popularne były pieśni i wiersze z okresu Komuny Paryskiej.

W aktach procesu krakowskiego z 1880 roku, w depozycie Hieronima Wrocisława Truszkowskiego — jednego z pierwszych socjalistów polskich, współorganizowanego w procesie krakowskim, znajduje się przez niego własnoręcznie przepisany tekst zapomnianej pieśni komunistów paryskich z roku 1871 „Drapeau Rouge”, zaczynającej się od słów: „Dans la fumée et le desordre”. Tam też znajduje się dosłowny polski przekład tej pieśni, zatytułowany „Komunarka” 1).

Posładmiasz jeszcze jeden materiał, świadczący o tym, że „Drapeau Rouge” znany był w Polsce na przełomie 70 — 80 lat. Jest nim wspomnienie robotnicze p. „O świecie”, w którym znajdujemy wzmiankę o tym, że melodia „Czerwonego Sztandaru” znana była wśród rewolucyjnych robotników warszawskich jeszcze przed 1878 r., tj. przed powstaniem polskiego tekstu tej pieśni:

„Robotnicy gromadnie zbierali się za mostem w Łazienkach, na Saskiej Kępie, strzelali z rewolwerów, czytali, bawili się, śpiewali o Głowackim, „Cześć wam, panowie magnaci” lub melodię „Czerwonego Sztandaru”, którego nikt już przypieśnił z Paryża, ale słów jeszcze nie stworzył poeta” 2).

Uważa się powszechnie, że „Czerwony Sztandar” B. Czerwinskiego jest przeobrażeniem francuskiej pieśni komunardów. Jest to nieścisłe. Porównanie „Drapeau Rouge” i „Czerwonego Sztandaru” wykazuje, że tekst pieśni Czerwinskiego jest utworem oryginalnym, napisanym dla potrzeb walki polskiej klasy robotniczej. Z „Drapeau Rouge” zapożyczył Czerwinski piekną melodię rewolucyjną oraz refren, który został przez poetę poważnie przerobiony, wzmocniony jeszcze barwliwą bojową nutą:

Le voilà! le voilà! regardez
Il flotte et fier, il bouge
Ses longs plis au combat prepares
Osez le défier!
Notre superbe drapeau rouge
Rouge du sang des ouvriers (bis)3).

Dalej utulec, dalej utulec wzniesiemy śpiew
Nasz sztandar płynie ponad trony,
Niesie on zemsty grom, ludu gniew,
Przyszłość rzucając stuw,
A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotnicza krew! (2 razy)

W WALCE I POD SZUBIENICĄ

Tekst „Czerwonego Sztandaru” po raz pierwszy opublikowany został drukiem (maj 1882 roku) za granicą w zbiorze, danym przez wydawnictwo polskiej

emigracji socjalistycznej w Szwajcarii — „Przedświt” — pod tytułem „Czerwony Sztandar”. Ponadto „Czerwony Sztandar” ukazał się w licznych ulotkach, wydawanych nielegalnie w kraju, które kolportowane były w środowisku robotniczym. Pionierstwo słowa pieśni zyskały sobie szybko popularność wśród polskiej klasy robotniczej, trafiały do serc uciemiężonych i poniżonych, wyrażały dążenia polskiej klasy robotniczej.

„Czerwony Sztandar” szybko przekroczył granicę Galicji i rozszedł się po całej Polsce. Wszędzie zdobył swych miłośników.

Rządy państw zaborczych miały jednak odmienne gusty. Nawet w „konstytucyjnej” Austrii za śpiewanie lub kolportowanie „Czerwonego Sztandaru” groziło więzienie. We Lwowie np. aresztowani zostali bracia Sosnowscy, u których podczas rewizji znaleziono ulotki z tekstem „Czerwonego Sztandaru”. 4) W dniu 11 stycznia 1888 r. policja austriacka w poszukiwaniu ulotek z „Czerwonym Sztandarem” dokonała rewizji u Bolesława Czerwinskiego i jego przyjaciela Bolesława Spausta. 5)

Ze słów „Czerwonego Sztandaru” często korzystał SDKPiL i KPP przy agitacji masowej. Organ SDKPiL, założony przez Feliksa Dzierżyńskiego, nosił nazwę „Czerwony Sztandar”; a jego dewizą, ujętą w tekście, była: „W imię rewolucji, pierwszy słowa pieśni. W numerze pierwszym „Czerwonego Sztandaru”, który ukazał się w listopadzie 1902 r., na czołowej stronie zamieszczony został pełny tekst „Czerwonego Sztandaru”.

Marcin Kasprzak do ostatniej chwili zachował postawę godną wielkiego rewolucjonisty. Skłeda usiłującego nakłonić go do spowodowania przyjaźni śpiewem „Czerwonego Sztandaru”. Wstupując na stopnie szubienicy, do ostatniego tchu śpiewał: „Krew naszą leją długo kaci...”

PONAD TRONY

„Czerwony Sztandar” stał się również bojową pieśnią proletariatu rosyjskiego, niemieckiego i innych krajów. W 1897 r. „Czerwony Sztandar” oraz inne polskie pieśni rewolucyjne — „Warszawianka” i „Pieśń wolnego ducha” — pojawiły się w wolnym przekładzie rosyjskim Gleba Krzyżanowskiego, jednego z bliskich towarzyszy pracy i walki Włodzimierza Lenina, później znakomitego uczonego-energetyka, współtwórcy wspaniałego planu elektryfikacji Rosji — Goelro. Krzyżanowski, przebywając w 1897 r. w Warszawie, mieszkającym na Butyrkach, po rozbiciu przez carat, leninowskiego, Związku Walki o Wyzwolenie Klasy Robotniczej, słyszał polskie pieśni rewolucyjne od uwiezionych tam robotników polskich. Między robotnikami polskimi a rewolucjonistami rosyjskimi zawiązała się serdeczna przyjaźń, o czym pisze Krzyżanowski w swych „Wspomnieniach o Leninie”:

„Nie przypadkowo już na Butyrkach zaznaczyło się zbliżenie robotników polskich do naszej grupy rosyjskiej oraz ich zdecydowane zerwanie z PPS...”

Dalej Krzyżanowski tak oto pisze o wstępie Lenina na jego twórczość polityczną:

„Nasze pieśni rewolucyjne ściśle związane były z ogólnymi celami i zadaniami rewolucyjnej partii socjal-demokratycznej. Bojowa pieśń wnosiła w szeregi proletariatu idee walki o wyzwolenie. Nasze pieśni związane były z prze-

jęciem partii do agitacji masowej. Do tworzenia pieśni rewolucyjnych nakłaniał nas sam Lenin swymi wskazaniami o agitacji” 6).

„Czerwony Sztandar”, „Warszawianka” i „Pieśń wolnego ducha” w przekładzie rosyjskim śpiewane były przez więźniów na Butyrkach w tymże 1897 r. przed wyruszeniem na zesłanie. Więźniowie podparli drzwi cel i nie wpuścili dobijających się zandarmów tak długo dopóki nie zakończyli śpiewu.

Zza murów więzienia, z dalekiego zesłania pieśni Krzyżanowskiego rozeszły się po całej Rosji i weszły do arsenału bojowych pieśni proletariatu rosyjskiego.

Lenin był gorącym entuzjastą pieśni rewolucyjnych, które śpiewał z wielkim zapałem. Lenin zachwycał się też polskimi pieśniami rewolucyjnymi, które sam często śpiewał. We wspomnieniach o Leninie, siostra Lenina, Anna Iljiczna Ulianowa-Jelizarowa pisze, że w 1900 r.:

„...po powrocie Włodzimierza Iljicza (Lenina) z zesłania siostra akompaniowała mu na fortepianie również do polskich pieśni rewolucyjnych — „Warszawianki”, „Szaleńcy tyrani” („Pieśń wolnego ducha”) i „Czerwonego Sztandaru”, których nauczyły się częściowo po polsku od polskich robotników — zesłańców, częściowo po rosyjsku w przedziale Krzyżanowskiego. Dokładnie przypominam sobie Włodkę (Lenina) przechadzającego się z katem w kąt po naszej małej jadalni i śpiewającego z entuzjazmem:

A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotnicza krew.

Zachwycał się rewolucyjnymi pieśniami robotników polskich i wskazywał na konieczność stworzenia takich pieśni również dla Rosji” 7).

Polskie pieśni rewolucyjne, które dzięki Krzyżanowskiemu stały się również własnością rosyjskiej klasy robotniczej, były przedrukowywane w każdorazowej pieśni rewolucyjnej, wydawanym nielegalnie w Rosji carskiej i na emigracji. O tym, jak doniosłe znaczenie miały dla walki klasy robotniczej pieśni rewolucyjne, niech świadczy fakt, że w okresie przygotowań do Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej na lamach „Pravdy” (Nr 3 z dnia 19 marca 1917) ukazał się pełny rosyjski tekst „Czerwonego Sztandaru”. Stawał się pieśnią publikowaną też w wielu innych pismach oraz ulotkach bolszewickich.

„Czerwony Sztandar” stał się też ulubioną pieśnią robotników niemieckich. Około 1900 r. Róża Luksemburg dokonała przekładu „Czerwonego Sztandaru” na język niemiecki. Pieśń „Die Rote Fahne” rozbudziła potężnie w czasie rewolucji w Niemczech w 1918 — 1919 r. klasę proletariatu niemiecki, idąc w ślady rosyjskiej klasy robotniczej, wystąpił pod wodzą Róży Luksemburg i Karola Liebknechta do walki o obalenie kapitalizmu.

Zwycięska pieśń walki — „Czerwony Sztandar” — „Krasnoje Znamia” — „Die Rote Fahne” powstała we wspólnej walce, jest wspaniałym i wymownym przyjaźni klasy robotniczej, polskiej, radzieckiej i niemieckiej.

Józef Kozłowski

6) G. Krzyżanowski „Wspomnienia o Leninie”, 1933, str. 33

7) A. I. Ulianowa-Jelizarowa, „Wspomnienia o Iljiczu” 1934 r. str. 82.

JERZY JANICKI

Tamka 1 — tam mieszka człowiek

Borys Polewoj zaleca jak najwyraźniej: chęć napisać dobry reportaż — poznać dokładnie obiekt, który bierzesz na warsztat.

A przede wszystkim — przeczytaj, co już na ten temat pisano. To oczywiście jest naczelną zasadą i zawsze się do niej stosuję; wyjeżdżam na kopalnię — wiem już na ogół jak „fedruje się” węgiel, wyjeżdżam do spółdzielni — wiem, że mam mówić o płonach.

Mam teraz iść w Warszawie do pewnego domu przy ulicy Tamka 1. W tym domu mieści się Centralny Instytut Ochrony Pracy, pracujący w nim poważni naukowcy, powstaje tam nowa u nas nauka — nauka o ochronie pracy.

Więc przeglądnąłem zsywkę naukowych wydawnictw, przewertowałem stenogramy dyskusji naukowców.

Tamka jest długa, więc idąc mam czas się martwić: chemia, atomizacja płynów, klimatyzacja, metody obiektywne i subiektywne. Co ja pocznę?

Tymczasem wprowadzają mnie w Instytucie do pierwszego z brzegu laboratorium. Stół, koło stołu człowiek, na stole — nóż. Inżynier Horbaczewski, który mnie tu wprowadził, przedstawia: to jest inżynier Wiśniewski.

Patrzę na nóż. A może to nóż? Może to obiektywne albo subiektywne narzędzie metody... Jakiego? Wszystko mi już jedno:

— Co to jest? — pytam się.

— To? Nóż.

— Nóż? Zwykły nóż!? Naprawdę?

— No, o tyle nie zwykły, że do Patroszenia ryb.

— Aha — ryb...

Nic nie rozumiem. Ja tu się szykuję na klimatyzację, atomizację, a tu mnie z takim słowem — „patroszenie”. Znaczy — wypruwać rybce kiszki?

— Tak — powiada inż. Horbaczewski — w patroszarniach robotnicy często kaleczyli się, zacinali, raniili, zdarzały się i zakażenia, więc właśnie inżynier Wiśniewski opracował nóż, który eliminuje wszelkie skałeczenia.

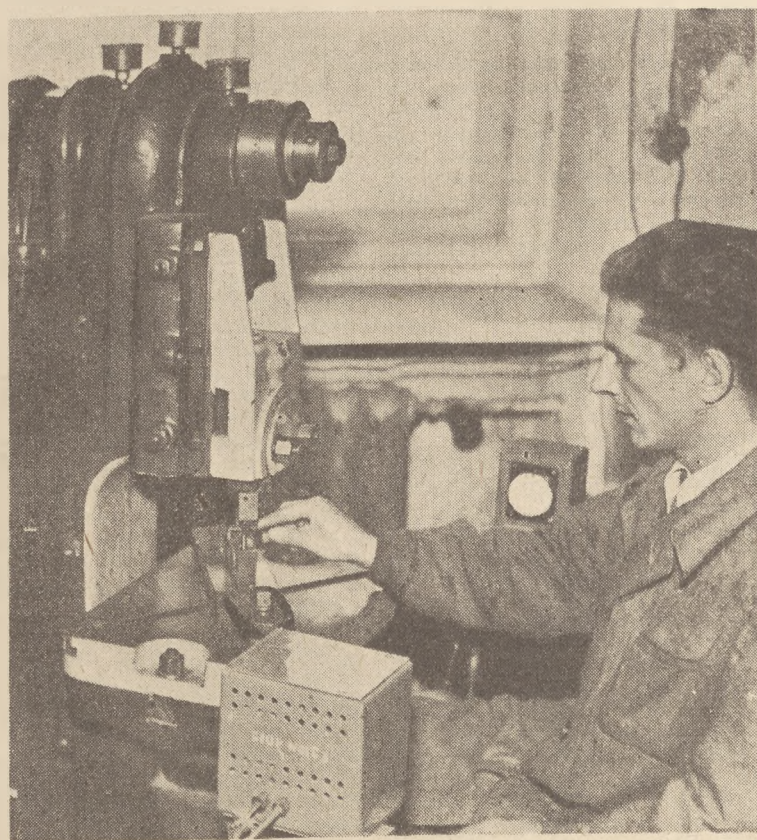
Potem przechodzimy kilka innych pracowni: w jednej leży na stole wentylator, a w drugiej kwasoodporne ubranie, w trzeciej ochronne okulary.

PIERWSZE POLE WIDZENIA — CZŁOWIEK!

Wszystko to narodziło się w pracowniach przy Tamka 1 na skutek, ogólnie biorąc, takich okoliczności: stwierdzono w kilku miejscach bezużyteczność pracy wentylatorów; okazało się, że ich budowa wymaga z punktu widzenia ochrony ludzkiego zdrowia zupełnie innej konstrukcji — więc model wykonano w Instytucie.

Robotnicy pracujący przy kwasach i ługach skarżyli się na bezużyteczność ochronnych ubiorów. Po długich badaniach skonstruowano ubiory igelitowe chroniące całkowicie ciało i ubranie człowieka.

W dziesiątkach naszych zakładów zauważono, że spawacze mimo ostrzegawczych kolorowych plakatów z ochronnymi okularami i się kątą dziadowską łaską i napisem „wybieraj”, niechętnie używali okularów. Wspaniałych, szwajcarskich „suwalowskich”, stosowanych na całym zachodzie okularów. W ma-



Pracownia obróbki plastycznej metalu: próba działania fotokomórki przy prasie automatycznej.

co jest stare, i że czujnie przystępuje się głosowi doświadczenia, praktyki”. (J. Stalin, „Zagadnienia leninizmu”, str. 634; wyd. „Książka i Wiedza”, 1951 r.).

To, co więc w pierwszym rzędzie cechuje młodą u nas, nieznaną przed wojną naukę — naukę o ochronie pracy, to właśnie ten kapitalny warunek: czujne przysłuchiwanie się głosowi doświadczenia, praktyki.

Potem postaram się opowiedzieć o wszystkich pracownikach; w nich wszystkich pracowników Instytutu staje w pierwszym polu widzenia — człowiek! Jeżeli to będzie wentylator — chodzi o ludzkie płuca, jeżeli okulary — chodzi o ludzkie oko, jeżeli ubranie igelitowe — chodzi o ludzkie nogi i ręce.

Dlatego przed wojną ani na Tamce, ani na żadnej innej ulicy nie pracowano nad tym zagadnieniem?

Dlatego, że ta nauka mogła powstać tylko w naszych warunkach, w naszym ustroju. Jasne. Powstanie nauki o ochronie pracy jest konsekwencją powstania nowego ustroju, w którym człowiek stał się podmiotem działania, w którym zniknęła klasy wyzyskujące, a klasa robotnicza stwarza dla siebie takie warunki, które pozwalają na pełny rozwój jej sił twórczych.

Powstanie, rozwój i olbrzymie sukcesy nowej nauki w Związku Radzieckim pozwoliły i naszym... naukowcom obalić starą bajkę o fatalistycznej teorii nieuchronności wypadków i chorób zawodowych.

Nie trudno tę „fatalistyczność” ukazać w prawdziwym świetle. W Stanach Zjednoczonych według oficjalnych statystyk wzrosła wypadkowość od chwili rozpoczęcia wojny w Korei w przemyśle stalowym o 48 procent, a w hutnictwie stalowym o 12 procent — na skutek intensyfikacji pracy w przemyśle zbrojeniowym, na skutek uruchomienia zakładów starych, dawno nieużywanych, nie posiadających elementów sanitarnych urządzeń.

nie Albina Świecha. Miał zmiażdżony palec u prawej ręki. Kiedyś przed wojną suwak prasy okazał się szybszy od jego ręki — nie zdążył jej cofnąć.

Przypomniało mi się to dlatego, że na Tamce w Instytucie pokazano mi rzecz, dzięki której wszyscy prasowacze będą mieć dziesięć palców i ani o jeden mniej.

Dyrektor do spraw naukowych, inżynier Horbaczewski, osobiście prezentuje mi swoje dziecko. Dzieje się to w podręcznych warsztatach Instytutu. Stajemy przed nie wielką prasą, mój inżynier naciska pedał i puszcza prasę. Suwak wali z góry na dół jak oszalaty. Wtedy otrzymuję bardzo zachęcającą propozycję:

— Podstawcie rękę.

Przyglądam się inżynierowi Horbaczewskiemu: mężczyzna, można rzec — w siłę wieku i takie żarty. A on ponawia, ba, nalega:

— Poważnie, poważnie — no — podstawcie!

Przyznaję samokrytycznie: przez moment nie zaufałem naucz. Podstawię — myślę — a potem co, przyjdę do „Nowej Kultury” i powiem — proszę bardzo, sami sobie piszcie, bo ja mam rękę trochę tego... no słowem — placek a nie rękę.

Stał koło nas robotnik. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Zamknąłem oczy: nie lubię. I nagle usłyszałem, że prasa stanęła. Najwyraźniej stanęła. Suwak tkwił nad ręką nieruchomo.

— A widzicie — roześmiał się inż. Horbaczewski — a przecież to, co?

I pokazuje nam dwie skrzyneczki z jakimiś szkiełkami stojące przed prasą.

Oczywiście nigdy nie widziałem takich skrzyneczek, ani w ogóle, żeby ktoś z dobrej woli pchał palec między drzwi czy między suwak a podstawę prasy.

— To fotokomórka. Pomiedzy jednym a drugim „szkiełkiem” przebiega promień, który może się załamać jedynie przy podstawieniu ekranu. W tym wypadku ekranem jest ręka. Następuje przerwanie promienia i automatyczne zahamowanie prasy. Czas przerwania pracy maszyny wynosi 0,15 sek., czas przeniesienia ręki — 0,35 sekundy. Obliczyłem, że dzięki fotokomórze wygrałem z prasą o 0,20 sekundy. W ten sposób wydajność prasy można podnieść o 25 procent.

A więc jest i druga uwaga — nauka o ochronie pracy ma ścisły związek i wpływ na wydajność, a więc — na produkcję.

Naczelnny dyrektor Instytutu, inż. Taniewski, pokazuje mi książkę radzieckiego naukowca K. W. Pawłowa, stwierdzającego w tym względzie, co następuje: „Im gorzej postawiona jest technika bezpieczeństwa pracy, tym więcej braków i mniejsza wydajność, a w następstwie i wyższe koszty własne”.

Przykład za przykładem mogę tu mnożyć podobne wypadki, bo każda pracownia posiada takie niespodzianki. Są one wynikiem długich i żmudnych wyliczeń, studiów, prac — są bliskie życiu jak blisko tylko powinna być zawsze nauka.

Górki pisał kiedyś: „złoty śmierci polega na tym, że pod wpływem strachu przed nią wyobraźnia ludzka stworzyła bogów, „zaświaty” i niedorzeczności w rodzaju nieba i piekła. Myślimy natomiast już dawno dopieł tego, że nasi zwykli „śmierćelnicy” — inżynierowie, górnicy kowale — są bardziej biegli niż podziemny bóg Wulkan, a elektrotechnicy — bardziej pożyteczni i potężni niż Jowisz, były władca błyskawic i громów”.

Zło wypadkowości, zachorowań polega na tym, że wygodna dla kapitalizmu teoria stworzyła „fatalistyczność”, „funkcjonalny wzrost liczby wypadków”. Myślimy natomiast za przykładem i przy pomocy nauki radzieckiej dopieł tego, że inż. Horbaczewski jest ze swoją fotokomórką, chytrzejszy od fatalistyczności, a przyrząd zwany klimatyzatorem (o którym niebawem opowiem) potężniejszy od wszystkich pseudonaukowych krzywych wykazujących funkcjonalny wzrost wypadkowości.

„TRESUJĄCE MYSZY”

O ile pierwszym celem Instytutu jest — człowiek, o tyle pierwszym środkiem działania jest — profilaktyka. Przeprowadza się więc długofalowe, analityczne badania wszystkich warunków, w których człowiek pracuje. Niezależnie od konkretnego głosu z terenu o konkretnym wypadku, przeprowadza się np. analityczne badania składu powietrza w różnych halach różnych zakładów pracy.

— Badania — powiada dyr. Taniewski — badania z punktu widzenia ochrony pracy muszą być badaniami kompleksowymi — całościowymi, to znaczy muszą rozpatrywać problem nie w powiązaniu jedynie z bezpośrednią przyczyną wypadku przy pracy, lecz w powiązaniu z całością wszystkich zjawisk, zachodzących w procesie produkcyjnym.

Wiele zakładów produkcyjnych w Polsce zawiera z Instytutem Ochrony Pracy t. zw. umowy socjalistyczne, dzięki którym następuje jak najbardziej bezpośrednie zetknięcie i współdziałanie nauki z produkcją. W ten sposób na przykład w „Ursusie” badano możliwości wypadków przy skrawaniu wióra metalowego. Badano właśnie zgodnie z zasadą rozpatrywania problemu w powiązaniu z całością zjawisk produkcyjnych. Gdyby starano się zabezpieczyć tylko tokarza, wystarczłoby zapatrzyć go po prostu w ochronę osobistą. Przeprowadzając jednak badania całościowe procesu technologicznego wysnuto wniosek, że należy po prostu zmniejszyć ilość powstających wiórów.

O podobnym zdarzeniu, świadczącym ponadto o rewolucyjnym wpływie nowej nauki ochrony pracy na przemysł maszynowy, opowiadał inżynier Skłodowski. Chodził milonowicie znów o naczelną zasadę: człowiek.

— Budowano maszynę tak: — mówi nasz inżynier — konstruktor zbudował maszynę, a ponieważ ma ona szereg grozących części, więc dobudowuje kląpki, ochraniacze, pokrywki. My zaś powiadamy inaczej: człowiek wykonuje takie to a takie ruchy, wpływają na niego takie to a takie warunki psychiczne, teraz do niego skonstruujcie towarzyścze, maszynę! Raz na naradzie udowodniałem to na przykładzie. Jeżeli tarca piły, powiadam, przecinającej deskę, grozi skałeczeniem, nie szukajmy żadnej kląpki, tylko wyrzucmy do diabła tę piłę.

Bardzo to, powiada inż. Skłodowski, zdumiało konstruktorów. Mnie też.

— Jak to — mówię — wyrzucić. A co z przecięciem deski?

— Ja wiem? — wzruszył ramionami — Może wytresować myszy, aby gryzły tę deskę. Wszystko, tylko żeby to nie szkodziło człowiekowi.

— Wytresować? Odpowiedź trochę traci... myślarz?

Roześmiał się:

— No jasne. Chodzi o taką tarczę piły, która by nie groziła skałeczeniem. To zasada.

JAK MOTTO STALO SIĘ EPILOGIEM

Zaczęliśmy rozmowę o hutach, więc się ożywiłem: poczułem mocniejszy grunt pod nogami; tu mnie już nie zaskoczy — mam szerokie koneksje w tej dziedzinie. Ponieważ mowa cały czas o warunkach pracy, opowiedziałem im nawet:

— Kiedyś, kiedy pojechałem zobaczyć jak Heniek Kowol bije swoje rekordy w szybkościowych wytopach, poznałem i jego ojca. Stary Kowol jest mistrzem i a „Kościszce”. zgadzaliśmy się o początkach jego pracy, o dawnych latach Opoławy o straszliwych warunkach, w jakich niegdyś pracowali; ludzie mdleli przy martenach, z ubrań kurzyło się jak z komina.

Tu przerwałem, bo moi inżynierowie wymienili między sobą spożyczenia. Dyrektor Taniewski powiedział:

— Klimatyzator. Opowiedzcie, kolego, towarzyszy zwióz klimatyzatorze,

Skłodowski skinął głową. Przerwałem zupełnie; nie jestem znów taki czuły na nietaktowność, ale pozwoliłoby raz i mnie coś do końca powiedzieć Nie, ja o hucie — oni o klimatyzatorze. Ale rzec się zaraz wyjaśnią.

W czwórce jak tu siedzieli: Taniewski, Horbaczewski, Skłodowski i Twardowski byli twórcami przepięknego aparatu klimatyzacyjnego.

Na hucie, kiedy następuje awaria pieca — trzeba go oczywiście naprawić, naprawić w pełnym chodzie. Przestudza się wówczas taki piec, to trwa kilka godzin i robotnik w drewniakach, z mokrym workiem na głowie, wchodzi do wnętrza naprawić uszkodzenie. Dłużej niż piętnaście minut nie pracuje, zastępuje go następny i tak dalej.

Badająca tę sprawę czwórka inżynierów skonstruowała klimatyzator, który ustawia się przed piecem i z którego z szybkością 5 metrów na sekundę puszcza się na naprawiającego robotnika strumień zimnego, nawilżonego powietrza.

Pierwszą próbę przeprowadzono w hucie „Florian”. Po znacznie krótszym niż normalnie ostudzeniu, puszczono na robotnika strumień klimatyzatora. Wszedł, naprawił, wyszedł i patrzy zdumiony na Skłodowskiego. Ten jest zniecierpliwiony: udało się czy nie? Pyta nerwowo: „No i jak, i jak?”

— Wiosna — powiada hutnik.

— Ale... ale w piecu?!

— Też mówię — w piecu. Wiosenne powietrze.

Skłodowski nie posiadał się z radości. Drugą próbę postanowił zrobić w walcowni tej samej huty. Tym razem strumień powędrował na barki i głowę walcowni pracującego w szczególnie gorących warunkach: pośrodku dwóch

— powiada — państwo mnie ten aparat kupiło, to moje Nie dam!!!!

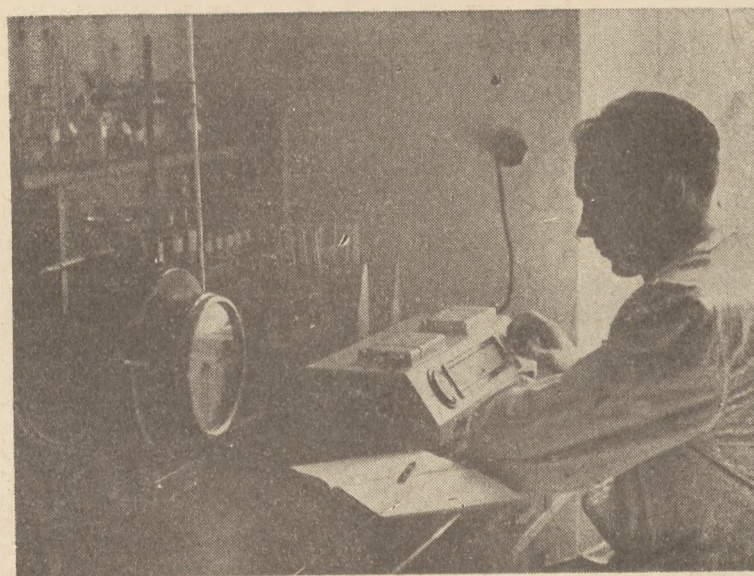
Inż. Skłodowski jest młodym naukowcem, wiele posiada za sobą sukcesów, ten jednak uznał za najpiękniejszy. Ostateczną krytykę dwuletniego wysiłku, efektu nieprzespanych nocy, zażartych dyskusji dały nie korelujące projekty, nie publikacje, nie długoszpalto- w: artykuły ale stary walcownik huty „Florian”. Dwoma stanowczymi słowami (które zresztą, gdy ochłonał — wycofał): Nie dam!

Leżą przede mną długie statystyki cyfr — o wypadkowości w Polsce w okresie panowania burżuazji: jak wzrastały są i cyfry z naszych lat: jak malały. Za tymi cyframi jest człowiek robotnik. pamiętający okres międzywojenny, i młody który pracę rozpoczął u siebie i dla siebie. słowem, aby zostać przy jednym przykładzie stary Kowol i młody Kowol — Henryk.

Ojciec demonstrował pod oknami dyrektorów Flicka, protestował, że dymi się na nim ubranie, że warunki są zastraszające.

Jego syn, który jest dziś posłem do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej 22 lipca 1952 uchwalił z całym narodem Konsytucję, a w niej jeden z paragrafów:

„...Obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do ochrony zdrowia oraz do pomocy



Pracownia kalorymetryczna: wykonywanie analizy powietrza w halach fabrycznych przy pomocy fotokalorymetru.

linii walcowniczych. Bracował pod klimatyzatorem kilka dni. Nadszedł czas wyjazdu inż. Skłodowskiego do innej huty ze swoim aparatem. Siedział w kantorku i rozmawiał z kierownikiem walcowni. „Pora jechać!” — powiada. Zamyślił się nieco i nagle sobie coś przypomniał: — „a gdzie wasz kierownik bhp?” Kierownik bhp nieproszony wpadł zdyszany w drzwi niewielkiego kantorku.

— Chce mnie bić! — wysapał.

— Kto???

— Ten z walcowni. Ja za aparat, a ten za łom. „Połóżcie po dobroci

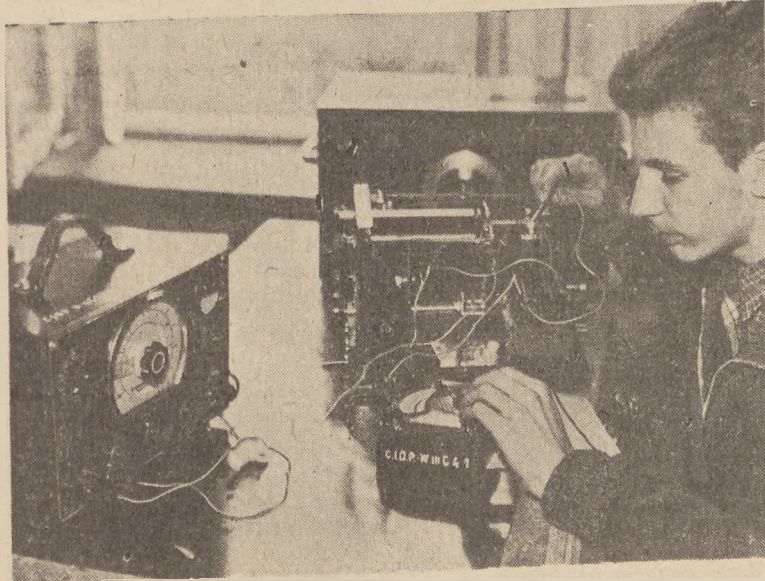
w razie choroby lub niezdolności do pracy.

2 Coraz szerszemu urzęczywieniu tego prawa służą:

...rozwoj organizowanej przez państwo ochrony zdrowia ludności, rozbudowa urządzeń sanitarnych i podnoszenie stanu zdrowotnego miast i wsi, stałe polepszanie warunków bezpieczeństwa, ochrony i higieny pracy...”

Obiecując sobie, że ten 60 ty Artykuł dam jako motto do mego reportażu, wyszedłem z domu przy ulicy Tamka 1 w Warszawie.

Jerzy Janicki



Pracownia elektrotechniczna. oscylograf w działaniu.

W tym pokoju na Tamce dr Biesiekierska zastanowiła się nad tym i doszła do wniosku, że: szwajcarskie — owszem, ale nie wspaniałe, bo zniekształca pole widzenia w dolnej prawej części. Dr Biesiekierska opracowała takie ustawienie szkła, że gwarantuje ono całkowitą widoczność i nie psuje wzroku.

A więc pierwsza uwaga — odpowiedź na każdy odzew z terenu.

„Nauka — uczy tow. Stalin — dlatego właśnie nazywa się nauką, że nie uznaje fetyszów, nie boi się podnieść rękę na to, co się przeżyło,

Nie trudno dowieść bajkowości „fatalistyczności” czytając niedawny opis reportera „Humanite” z jednego z zakładów odzieżowych w centrum Paryża. Pracują tam piętnastoletnie dziewczęta; szyją pochylone cały czas nad stołem. Kiedy chcą się wyprostować, sprężynowe oparcie krzesła nagina ich plecy z powrotem i przypomina im na tymczasem: nie wyprostujesz się, musisz cały czas pracować!

JAK „ZWATPIŁEM” W NAUKĘ

Kilka lat temu podczas reporterskiego wyjazdu spotkałem w Lubli-

ANDRZEJ PIWÓWARCZYK

Pietrek poszedł z nami



Rys. Stefan Zechowski

Pietrek miał brata, nauczyciela, zagrzebanego gdzieś w błotach polskich. Ten brat właśnie nie wierzył i był wykłety z domu... Pietrek przyszedł do gimnazjum, mając wbite w głowę przemoc ojca, że do szóstki czy siódmej w jakiś tam sposób dobrze, a dalej pomoże ksiądz katecheta, który go zaproteguje do seminarium w Sandomierzu.

— Pamiętaj, żebyś co rano, Pietrku, do kościoła wstępował. Ksiądz prefekta wielebnego jak spotkasz, pamiętaj, zawsze w rękę pocaluj. Ucz się dobrze, synu, żebyś ojcu nie przynosił wstydu, a — da Bóg — wyjdźesz na ludzi — przemawiał do Pietrka ojciec, przejeżdżając od czasu do czasu i przywożąc ze sobą prowiant.

Pietrek przez długi czas postępował w myśl tych wskazówek. Ale w spełnieniu nadziei ojca przeszkadzał tamten nie wierzący brat, który kiedyś chodził do seminarium nauczycielskiego, gdzie ksiądz prefekt także uczył religii... Ksiądz prefekt nie mógł pozbýć się nieufności w stosunku do Pietrka.

W trzeciej czy czwartej Pietrek poskarżył pewnego razu na lekcji religii, że ja twierdzę, że... nie ma cudów, bo ich nie można na własne oczy zobaczyć, a wszystkie się dzieją albo gdzieś indziej, albo działają się dawno!.

Na to ksiądz zmżył głowę Pietrkowi, że powtarza głupstwa. Przykajując mi wstać z ławki zapytał:

— Jest Ameryka czy jej nie ma? Odpowiedziałem, że jest.

— A widziałeś ją na własne oczy?

— Nie widziałem.

— To z tego wynika, że Ameryki nie ma. Ha, ha; — oto mają wszyscy dowód, jaki jesteś mądry.

Spróbowałem zauważyć, że Amerykę można widzieć na mapie. Na to padła odpowiedź, że cuda też można zobaczyć na obrazach.

Ponieważ porażka nie dawała mi spokoju — zdobyłem skądś dwa bardzo zasadnicze pytania, nadające się w sam raz, żeby nimi pognać pobożnego Pietrka. Pierwsze brzmiało: czy jeśli bóg jest wszechmocny — to czy może tak uczynić, żeby nie istnieć?; i drugie: czy jeśli bóg jest wszechmocny — to czy może stworzyć taki ciężki kamień, żeby go sam nie unosił?...

Tym razem Pietrek nie zwrócił się do katechety, ale wygadał się na powiadzi, do której większość kolegów chodziła co tydzień, ażeby uzyskać piątki z religii. Jaka była odpowiedź spowiednika co do kwestii „istnienia — nieistnienia”? i co do możliwości zdawiania ciężarów przez opatrność — nie wiem. Zorientowałem się tylko, że zaspokajająca dla Pietrka ta odpowiedź nie była.

Jednakże nie żadne wątpliwości natury teologicznej, tylko pewien nieprzewidywany wypadek spowodował nasze zbliżenie się z Pietrkiem. Mianowicie wychowawca klasy, nie kryjąc swoich endeckich i arystokratycznych zapatrywań, posadził Pietrka w jednej ławce z Lejbusem Gelerem.

Lejbus wychodził na lekcje religii, ale pewnego razu pozostawił na wierzchu zeszyty. Ksiądz katecheta, przystając mimochodem przy ławce, wziął w rękę jeden z zeszytów i przeczytał nazwisko.

— Z Żydem siedzisz, co?

— Z Gelerem. proszę księdza prefekta — odpowiedział Pietrek.

Wtedy ksiądz prefektowi strzelił koncept do głowy:

— No, każdy dziedzic ma swojego Lejbusia...

Pietrek zaczerpnął się po uszy. Właśnie to powiedzenie, na które klasa zareagowała śmiechem, obraziło jego chłopski honor. Nie był to, jak się potem okazało, honor „narodowy”, ale honor klasowy w najlepszym znaczeniu tego słowa...

*

W tym czasie, przed 1 maja toczyły się ożywione rozmowy z Serafinem. Berkiem, z „Włodkiem” i to-

warzyszką, której nazwiska ani imienia nie znam. Szło o to, żebyśmy skupili wokół siebie wszystkich przeciw endeckim i niedobitkom tzw. „Straży Przedniej”, której patronował w gimnazjum profesor historii Bolek i starsi chłopcy z naszej grupy byli zajęci przygotowaniami do egzaminów maturalnych. Wiele spraw przechodziło w ręce „młodszej gwardii”. Zbieraliśmy się wtedy u Józka na Dzieżkowię — chłopcy i dziewczęta ze wszystkich szkół średnich i zawodowych w mieście. Również ze szkoły garbarskiej, gdzie wodził rej Tadek, który przywedrował z Zachodniej Ukrainy z kufierkiem pełnym tzw. miazmatów.

Należało przygotować się godnie do dnia 1 maja. Prowadziliśmy wtedy zbiórki na MOPR i na Czerwoną Hiszpanię, podczas gdy endecy zbierali na złotą szablę dla gen. Franco... Nasz młodzieżowy dar na 1 maja dla towarzyszy siedzących w więzieniach i dla walczącej Hiszpanii miał wypaść jak najokazalej. Za poradą Edka Serafina — i takie też było zdanie zebranych u Józka — mieliśmy nieść w pochodzie transparent z hasłem bezpłatnej szkoły...

*

Byłbym może w rozgardiaszu różnych mniej i więcej ważnych podówczas spraw zapomniał o „sojuszu robotniczo — chłopskim” i konkretnie o Pietrku, gdyby nie to, że Pietrek zgłosił się do mnie i trzymając w ręku 20 groszy — powiedział:

— Ty zbierasz na Żydów, no to weź...

Pieniądże przyjąłem, z zaznaczeniem, że to wcale nie na Żydów.

Jeszcze tego samego popołudnia, chodząc z Pietrkiem po parku, wysłuchiwałem jego żalów na temat, że wcale nie chce zostać księdzem, a nie wie, jak postąpić teraz, bo ojciec nie ma więcej pieniędzy na czesne, no i pomoc katechety stanowczo odpada.

— Jest źle, bo jak ja powiem staremu, żeby nie chodził o pomoc do katechety?... A stary na pewno niedługo przyjdzie. Miał długi na mnie w „Spółce Rolnej” i w domu teraz ciężko... Brat nie pomoże, bo się ożenił... Żebym poszedł do rzemieślniczej i został ślusarzem — stary o tym nie będzie chciał słyszeć.

— Napisz do brata. Niech spróbuje wyjaśnić ojcu, że z ciebie żaden kandydat na kleryka. Niech ci nie lamie życia...

Ogólnie biorąc z Pietrkiem było krucho. W dniach, poprzedzających święto pierwszomajowe w 1937 roku — nie dojadł Usiłował wprawdzie zdobyć korepetycje, ale kto by z inteligentnych, mieszczańskich rodziców zaangażował korepetytora, nie porozumiewający się wpródy z profesorami... Opinie profesorów były raczej negatywne. Widocznie ich zdaniem Pietrek za często już przestawał z „prowodyrami”.

Dyrektor zapowiedział stanowczo, że jeśli czesne za drugie półroczne nie będzie zapłacone — zabroni Pietrkowi wstępu do klasy. Szło o to, żeby Pietrek pozostał w gimnazjum do końca roku szkolnego. Zwróciliśmy się wtedy z prośbą do polonisty, który sprzyjał naszemu ruchowi, aby wziął na siebie misję „przekabacenia” ojca Pietrka. Pojechał też na wieś trochęś niedzieli z końcem kwietnia.

Pietrek był jak dotąd dwukrotnie na naszych zebraniach w domu Józka, ale jeszcze nie zabierał głosu. Słuchał. Odszedł już wprawdzie daleko od wszystkiego, co głosił katecheta, jednakże do kościoła uczęszczał w dalszym ciągu i w dalszym ciągu wierzył. Stworzył sobie jakąś swoją, własną, świętofranciszkańską religię. Zgadzał się z wszystkimi, modnymi wówczas w naszym gronie pacyfizmami, prócz tego, który głosił Bolek. Właśnie Bolek był zdania, że do podchorążkówki pójdziemy i będziemy tam przymusi... „żeby tym celniejsze strzelać w burżujów”.

Pietrek zajmował się problemami światopoglądowymi bardziej „na serio”. Czytał. Podczas gdy my wyla-

wialiśmy z nielegalnej lektury to co najbardziej radykalne — on usiłował zgłębić całość. Snuł plany na przyszłość. Rozmawiał z moim ojcem, elektrotechnikiem, o różnych zagadnieniach fachowych, mnie raczej mniej zajmujących. Usiłował znaleźć sobie miejsce na ziemi wobec zmian, jakie nastąpią z chwilą kiedy opuści gimnazjum.

Bolek powiadał po rozmowach z Pietrkiem, że Pietrek jest twardy i zacofany jak chłop. Skądś, licha go wie w jaki sposób. Pietrek doszedł do wniosku, że owszem jest z nami, ale jego kolor jest zielony, a nie czerwony. Bolek w zdenerwowaniu powiedział, że ta jego, Pietrka, orientacja — ma bardzo podejrzany charakter, tym bardziej podejrzany, bo miejscowi endecy kumają się właśnie z ludowcami...

— Ja cię wcale nie obrażam, że ty kumasz się z Moskwą — odgryził się Pietrek...

Sprawy ze „starym”, dzięki perswazjom polonisty i pomocy mojego ojca, ułożyły się w jakiś sensowny sposób. Pietrek był teraz codziennym gościem w wielkim bloku fabrycznym, na Plantach, gdzie zamieszkiwaliśmy. Wysłuchiwał chętnie gawęd i wspomnień „z dziejów pięcioletniego” i potem z okresu Rad w Zagłębiu, w czym ojciec celował, opowiadając tak, jakby to wszystko działo się dopiero wczoraj... W niczyjej recytacji ostatnia strofka wiersza poety, który był dla nas równy Mickiewiczowi, ta strufka:

By słowa te uniósł niejeden
jak lonty dynamitowe,
Na Hutę Bankową, na Reden —
Zapalać... Gotowe? — Gotowe!

nie brzmiała bardziej dojmująco, jak w recytacji mojego ojca. Repliką w domu był ten wiersz, co wypływało z faktu, że pochodziliśmy z Zagłębia, mieszkali kiedyś na Redenie, a ojciec pracował przez wiele lat właśnie w Hucie Bankowej...

Pietrkowi wydawało się jednak, że zostając robotnikiem, pozostanie w przyszłości chłopem... W przeddzień 1 maja na pytanie, czy pójdzie z nami, oświadczył:

— Mój kolor jest zielony, i ja mam swoje święto.

Serafin porządnie natarł mi uszu. Było to chyba pierwsze poważne ciągi, jakie odbierałem.

— Weźmiemy udział w święcie ludowym, ale i on powinien wziąć udział w naszym święcie, a wy, zawałacie robotę, towarzyszu. Nie wiadomo wcale, żebyśmy mieli jednolitą frontową platformę w waszym gimnazjum...

*

Ustaliliśmy, że 1 maja 1937 roku, my, młodzież gimnazjalna, przyłączymy się do pochodu koło południa, w śródmieściu. Początkowa koncepcja, żeby tego dnia nie iść w ogóle do szkoły, odpadła. Po różnych awanturach z endekami — zdaniem starszych towarzyszy — należało postępować ostrożnie. Tylko kolegom ze szkół zawodowych i z technicznej pozwolono przyłączyć się do święta z samego rana. Rzecz jasna, że pozwolenie nie pochodziło wcale ze strony dyrekcji ich szkół.

Wydostaliśmy się z gmachu gimnazjum po czwartej lekcji, parę minut przed dwunastą. Przeszło się po jedynemu przez dziurę w parkanie, bo woźny miał zakaz wypuszczenia kogokolwiek bez wiedzy wychowawców. Pietrek znalazł się między tymi, którzy postanowili „zawagrować”.

— Mam coś staremu w sądzie załatwić. Na pochód nie idę... A i tak ze sprawowania nie postawią więcej jak trójkę...

Udaliśmy się w stronę śródmieścia, brzegiem ulicy, pod prąd, niedzię pochodem a chroniącą pochód strażą porządkową. Pomagali w tym przejściu nasze czerwone kokardki. Trochę byliby trudniej przedostać się naprzód. Był zatłoczony gapiami i sympatykami.

Pietrek zniknął mi z oczu, kiedy wchodziłem do kina „Czary”, aby sprawdzić, czy nasz transparent, któryś tam został wzięty wieczorem — został zabrany. Nie było go. Górował już nad grupą koleżanek i kolegów, oczekujących nieopodal na odpowiedni moment włączenia się do pochodu. Mieliśmy za sobą sympatię OMTUR-owców i wszystko było z góry ukartowane. Straż porządkowa nie czyniła naszym jednolitofrontowym poczynaniem żadnych „wstrętów”. Ujawni się pod ręce w chwili gdy nadeszły szeregi OMTUR-u, poszliśmy z nimi równym krokiem...

*

Tuż za rogiem ulicy Moniuszki, oddzielony od trotuaru małym placikiem, opatrzonym żelaznymi sztachetami na podmurówce — znajdował się wtedy dom redakcji „Słowa narodowego”. Był on własnością stronnictwa, które wslawiło się prawie zorganizowaniem pogromu biedoty żydowskiej w pobliskim Przytyku. Tego dnia brama z żelaznych prętów była zamknięta na łańcuch i kiedy przechodziliśmy tedy przed półgodziną, zdążając do śródmie-

cia — spostrzeżliśmy zgromadzonych za bramą i za żelaznym parkanem granatowych policjantów. Endecy oddali im się pod opiekę...

Nasza część pochodu była już w wylocie ulicy Moniuszki, kiedy zza pleców policjantów, z piętra budynku „Stronnictwa Narodowego” posypały się na idących jedyną kamieniem. Trotuary po obu stronach opustoszały w mgnieniu oka, a straż porządkowa zbiegła się w kierunku tego odcinka, który był najbardziej zagrożony.

We wrzawie, w śpiewie pieśni „O cześć wam, panowie...”, wśród okrzyków „Precz z endecją”, „Precz z faszysmem”, „Precz z polskimi hitlerowcami” — rozległ się donośny głos przodownika, który dowodził plutonem broniącym endeków: „reptuj bryń!... Towarzysze, uciekać...” — wrzasnął jakiś bardziej tchórliwy mieszczuch albo prowokator. Nasza część pochodu zatrzymała się, a ci, którzy szli przed nami pobiegli szybko naprzód, oddalając się od miejsca przypuszczalnego ostrzału. Przez chwilę na ulicy naprzeciw żelaznego parkanu, za którym stał dom endeków — było pusto. Ale trwało to tylko chwilę... Niebawem zaroilo się tam od brukarzy, garbarzy, murarzy i kamieniarzy, których w mieście nie brakowało. Roztrącając nas przeszli naprzód zdecydowanym krokiem jacyś dwaj robotnicy. Jeden z nich zawiązał rekawy, cedząc przez zęby: „my im s...sym pokażemy”. Miał oczy wlepione w rząd hełmów policyjnych, ślśniących na wysokości podmurówek pod żelaznymi sztachetami. Policjanci, klęcząc, trzymali broń w pogotowiu. Mogli w każdej chwili wysunąć lufy na ulicę i oddać salwę.

Śpiewaliśmy właśnie na całej gardło:

„O cześć wam książęta, biskupi —
psubraci
za kraj nasz krwią bratnią
zbrzyżany.”

W słowa pieśni wdali się nagle dźwięk syzyb z drugiej, nie widocznej z ulicy, tylnej strony budynku endeków. Przodownik, dowodzący plutonem policji, krzyknął nagle: „za mną!” — i wbiegł szybko do wnętrza budynku. W tej samej chwili na placik przed budynkiem i w pospiesznie zamykane okna pierwszego piętra posypał się grad kamieni... To była odpowiedź na zaczepkę.

— Towarzysze, nie zatrzymywał się! Idziemy naprzód — przynaglił porządkowi.

Kiedy przechodziliśmy bezpośrednio przed żelaznym parkanem — było za nim pusto i pusto było za wybitymi sztachetami. Policjanci bronili teraz budynku z drugiej strony. Spóźnili się w ogrodzie, skąd poszedł kontratak, było już pusto.

Dochodząc do starostwa, przed którym zgromadziło się parę plutonów policji „w pełnym rynsztunku” — ogładaliśmy się w dół ulicy: panował wszędzie spokój.

Śpiewaliśmy teraz w naszej grupie, reszta ku niezadowoleniu kilku porządkowych — pieśń podówczas niebardzo cenzuralna. Nie znając jej dobrze OMTUR-owcy wtórowali nam mrużącębem. Refren tej pieśni brzmiał:

Niechaj zadudni nasz krok,
krokiem mrok nocy pruj —
Niech pieśń zagra taranem u krat —
O nową dziś Polskę idziemy na
bój...

Dochodziliśmy podnieceni wydarzeniami i tym naszym — co by się nie rzekło, pierwszym chrztem bojowym — do łaźni miejskiej. Tu w tej części miasta bramy były pełne policjantów. Oddział „goledziaków” pędził po trotuarze pospiesznie na dół, w stronę endeckiego budynku.

W pobliżu gimnazjum na trotuarach stało już wielu kolegów, którzy wyszli na ulicę po skończonych lekcjach. Szliśmy tym bardziej głośno śpiewając... W drugim szeregu nasz transparent młodzieżowy z hasłem „Żądamy bezpłatnej szkoły” — zmienił właśnie chorągiew. Objeżdżaliśmy się odrochowo za siebie... W pierwszej chwili nie poznałem Pietrka. Miał olbrzymi, cięty guz pod czupryną, a opuchlizna zeszała mu w dół czoła, przykrywając nieomal lewe oko. Był cały czerwony na twarzy. Łapał powietrze, jak ryba — i maszerował naprzód, starając się nieść jak najwyższą swoją „chorągiew”. Wymachiwał transparentem na obie strony ulicy, tak żeby wszyscy przeczytali...

„Coś się musiało z nim stać” — pomyślałem, skracając razem z innymi w stronę placu, na którym pochód miał się rozwiązać. Ktoś tam proponował Pietrkowi, że teraz on poniesie. Pietrek warknął ze złością:

— Nie. Ja jus doniesie...

W zapamiętaniu mówił twardym, chłopskim akcentem, który rzadko kiedy można było u niego słyszeć.

*

Późnym popołudniem, już po rozwiązaniu pochodu, kiedy odprowadzaliśmy naszego bohatera dnia do znajomego lekarza — sytuacja wyjaśniła się. Pietrek, odłączywszy się od nas w południe, pozostał na trotuarze, ażeby „obejrzeć pochód”.

Dopiero potem miał pójść do sądu... Był ciekaw — i dostał w głowę kamieniem Zamroczyło go i poniosło razem z innymi w górę ulicy. Tam dopiero ochłonał.

— Pomyślałem, że „jak tak” — to się do was przyłączam... — zwierzył mi się patrząc przed siebie jednym okiem, jak baczny na wszystko cyklop.

*

W mieście wrzało. Wiadomość o morderczym napadzie endeków na pochód pierwszomajowy w Kielcach gdzie byli zabici i ranni — wywołała olbrzymie oburzenie. Nasz kraj mas robotniczych tak samo zresztą jak w całym kraju, przesuwały się zdecydowanie na lewo. Piesiacki magistrat w naszym mieście odgrywał niestety w tym okresie rolę pewnego rodzaju „katalizatora rewolucji”.

— Bo są różni pepesowcy, proszę pana, a nasi są narodowi — wyjaśniali sobie zastrachane mieszczuchy.

Byli nie tyle narodowi, ile po prostu paktowali z reakcją, z burżuazją. Chyba temu flirtowi należy też przypisać, że nasz udział w pochodzie „rozszedł się po kościach”. Nie 1 Maja, ale prowokacja endecka zadecydowała wtedy o dalszych losach niektórych członków naszej grupy. Gdzieś w połowie maja podzuczono nam a następnie znalezione u nas, „wypożyczone” na pewno z „defet” bločki MOPR-u i arkusze znaczków na Czerwoną Hiszpanię... Śledztwo toczyło się w burzliwej atmosferze łacinników, a przy przestuchaniach był obecny pewien pan spoza gimnazjum... Dobry znaw-

ALEXIS PARNIS

Nazim Hikmet wymienił go w jednym ze swych artykułów wśród największych poetów naszej doby. Znal wówczas jeden zaledwie utwor młodego Greka — pierwszy, który ukazał się w prasie dziecięcej. Ale w utworze tym odczuł to co decydujące o wymiarach poezji: wielką i śmiałą duszę, duszę pełną ukochania człowieka i żołnierskiej czułości, duszę pokrewną własnej.

Polowa życia Alexis Parnisa — to walka. Urodzony w 1924 roku w Pireusie, syn tkacza-komunisty, jako piętnastoletni gimnazjalista przystąpił do antyhitlerowskiej konspiracji. Później było partyzanckie, stronne górskie ścieżki, Partia Komunistyczna, pierwsze próby pisarskie... W grudniu 1944 roku naród grecki przekonał się, że faszizm może mówić różnymi językami. Także po angielsku. Podczas grudniowego powstania przeciw angielskim żołdakom, którzy złuzowali SS-owców w zamkniętych wrot greckiej katoimii, Alexis Parnis jest komisarzem kompanii. Po raz pierwszy zostaje ciężko ranny. Awansuje na komisarza pulku.

Pamiętacie następne lata? Ile razy zwracaliśmy oczy w stronę, gdzie broczył krwią męzny, młotujący wolność naród... Pisał mi wiersze o Helladzie. Młodzi chłopcy wysyłali listy do KC: „Pozwólcie nam jechać do Grecji...” — a gdy im tłumaczono, że nie wolno, mającymi wleczerami a zielonej granicy. Na festiwalach w Pradze i Budapeszcie ścisłymi pachnące prochem dźwięki bohaterów. Słowo „Grammos” brzmiało w naszych uszach tak słodko, jakbyśmy się tam urodzili. Gdy zaś tytułowska Jugosławia zadala wojownikom o wolność zdradziecki cios w plecy, zuchowaliśmy w sercach płomienią wiarę: to nie koniec! Jeszcze Grecja nie zgine!

W owe to lata, z ogromnego męstwa,

Wiktor Woroszyński

Pamięć K. Janopolosa, poety-bohatera ludu greckiego.

W świętej błtmy ogniu,
jak pod słońcem tropikalnym,
z dnia na dzień dojrzewało
pokolenie.

Trudne były to lata,
lecz myśmy je pokochali.
Było w nich dźwięk piękno,
jak w gałązkach wawrzynu,
które zdobią zwycięzcę.
Pokochaliśmy lata naszej młodości.
Opuszczaliśmy nas one nie w cichej
zadumie,

jak liście z drzew opadają.
Opuszczaliśmy nas po kole, grzmiając,
jak polski gniewne.
Nie było nam żal, że odeszły,
jak nie żał żołnierzy
kul wystrzelonych do wroga.
Pamiętasz? Jeszcze nie ochrzczonej
ogniem
pierwszej młodości,
ochrzcił nas
ogień
bitwy.

*

„I on też szedł z nami.
Umiał
doprowadzać wroga do szaleństwa

kulami swymi.
Umiał
przynosić nam radość
każdym ze swych wierszy.
Dobrze
mleć poetę obok
w okopie.
Zimno,
błoto,
zakrwawiona ziemia,
w niebie — jak rany otwarte —
detonacje
w mroku czerwone wybuchy.
Jak płamy krwi.
Suche jak gałąz bez soków
było ciału,
pobawione snu.
A on ślecił przed nami
swoją pieśń wesołą,
jak barwny domowy obrus,
przypominając
jaki piękny będzie
święteczny stół zwycięstwa.
Kiedy kładł się spać na
twardej ziemi,
on podkładał nam pod głowy
swoje pieśni,
cieple jak matczyzna poduszka,
czule, jak dłoń dziewczyny,
która czeka

P i e r w s z a ś c i a n a

O kilku dni Michał Kuźnar zaczął się pojawiać na budowie w swej kusej i podszytej wiatrem brzenkowej kurtce, mimo że powietrze, zwłaszcza rankami i około zmierzchu, było jeszcze chłodne. Nie znosił jednak zbyt licznych obciążeń w tym czasie wzmożonej ruchliwości, długie zaś poły płaszcza płatały mu się wokół nóg; zrzucił go więc z siebie. Trochę się wprawdzie obawiał, że Bronka to spostrzeże — zawsze przecież pilnowała, by się ciepło ubierał — i sztykował sobie wzgardliwe odpowiedzi na wypadek jej białd: „Ojciec zapomina, że już nie jest młody, a zachowuje się jak gimnazjalista...” — „Dam ja ci gimnazjalistę” — burczał w duchu, wciągając rano ukradkiem swą wyciąg katabaję, podczas gdy gruby płaszcz zimowy spoczywał ukryty w głębi szafy. Ale Bronka jakoś nic nie spostrzegła; od pewnego czasu rzadko wychodziła ze swego pokoiku, a przy stole była małowolna, jakby rozstragniona. „Zawzięła się w nauce” — myślał Kuźnar z respektem i żałował trochę w głębi duszy, że umknęła mu sposobność do sprzeczek. Nad podziw lubił się droczyć z tą małą.

Wykop szpitalny był już ukończony. Kuźnar w ciągu dnia, gdy tylko miał chwilę wolną, raz poraz zlażył tam po deskach, by pogwarzyć z ludźmi. Dół rozległy, głęboki i wygodny miał już wymiary przyszłego gmachu, tłusta glina kląskająca pod nogami, nad głową zaś obszar czystego powietrza — znakomity materiał budowlany! — ofiarowywał się nie istniejącym jeszcze kondygnacjom. Kuźnar chodził bez

kapelusza, częstował papierosami, śmiał się, mówił nieco zbyt głośno i od czasu do czasu pochylał głowę, jak gdyby jakiś niewidzialny nieprzyjaciel mógł z nagle otworzyć ogień na ich zarytą w ziemi pozycję.

Ale umacniała się z każdym dniem. Pewnego ranka do wykupu zstąpili betoniarze i zetempowska brygada Wielborka zatknęła czerwony sztandarek w miejscu, którego miał sięgnąć pierwszy zrab ławy pod fundamenty. W następnych dniach Kuźnar obserwował z niezmiennym podnieceniem jak maleje odległość między betonowym garbem a chorągiewką, i coraz częściej przebywał w wykopie, opędzając się przed wysłannikami Tobisza, którzy szukali go po całym terenie robót.

— Rozdrabniaś się — narzekał sekretarz, gdy wreszcie udało mu się go ściągnąć do biura — czego ciągle siedzisz w tym dole? Dadzą sobie rady i bez ciebie.

— Gderasz — odpowiadał Kuźnar — tam jest teraz przyzwołość, rozumiesz? Z tego dołu wszystko wybuchnie, chłopie miłosierny. Ludzi trzeba zagrażać. A tyś nieczuły.

— No, no — marszczył się Tobisz — tylko nie tak, proszę cię. Zapominasz o całokształcie. W dźwięku „Zet” znowu wytopili się panewki. Na starej budowie co i raz przestoje. Poza tym telefonował Bojarski, że musisz jechać do Ministerstwa. W sprawie bocznicy. Znowu coś zakwestionowali.

— Zakwestionowali... — Kuźnar uśmiechnął się zjadliwie. — No, przecie oni są od tego. My budujemy, a oni kwestionują. — Wzru-

Tłumaczył WIKTOR WOROSZYLSKI

o ostatniej pieśni poematu

Dobrze
mleć obok, w okopie
poetę,
który umie z tysiąca chwłi
stworzyć jeden wiersz,
podobnie
jak z tysiąca płatków róży
powstać jedna kropla wonności.
On szedł razem z nami
i pieśń jego razem z nami
szła, dumna jak żołnierz-weteran.

✱

Jak słodko bije serce!
Zupełnie jak wtedy,
kiedy był chłopcem
i przyjaciele pod oknem
gwizdaniem wzywali go,
by wyszedł.

• • • • •

Wspomnienia,
przyjdźcie dziś do mnie,
i ty, księżycu,
ozłoć kraty,
aby były podobne do strun,
cała cela zaś — do gitary.
Przyjdźcie
po ścieżce złotej,
którą światło księżycy usłalo
środkiem tak spokojnego dziś morza

Tej nocy
pragnę pieśń zaśpiewać,
taką pieśń, by zmieściła
wszystkie głosy mojego życia,
by była szeroka jak niebo,
w którym mleszczą się wszystkie
gwiazdy.

Pragnę oplewać
słońce ziemi mojej,
tak bogate w światło,
jak biedni
są jej ludzie w chlebie.

Pragnę opiewać
gwiazdy kraju mego,
okrucy słonecznego kołacza.
Tyle tęsknot wykarmita
każda z nich.

Pod tym niebem, pełnym gwiazd,
pod niebem tak lekkim,
jakby całe trzymało się
na białych kolumnach Parthenonu,
po raz pierwszy w jeden z wieczorów
wiersze przyniosłem ojcu.

Tak, jak ja wówczas,
podskakują dzieci,
gdy przynoszą dorosłym
kolorowego motylka
złapanego w polu.
Albo przynoszą kolorowy kamyczek,
znaleziony na brzegu morza,
i chowają go jak drogocennosc,
póki starsi im nie powiedzą,
że to przecież zwykły,
najzwyklejszy kamień.

Teraz pamiętam także
włosenny poranek,
kiedy ojciec spoglądał na dach,
na jaskółki,

które uczyły swoje pisklęta
rozpoznać nieporadnie skrzydółka
i truć.
„Ej, Kostas! Popatrz!
A kiedy
twoje wiersze
rozwiną skrzydła?”

✱

Mijają godziny
w clemności,
biały papler błyszczy
jak pierwszy promień jutrenki
na widnokręgu.
Ale pieśń
dawno już wzeszła.
Niedługo jakiś żołnierz padnie,
i pieśń
zajmie jego miejsce
w szeregu.

Pieśń...
Jak słucha się pierwszych
kroków swego dziecka,
tak słucha poeta
huku mądrej maszyny,
która drukuje ją
po raz pierwszy.
Potem widzi,
jak pieśń zaczyna chodźć
twardym, pewnym krokiem
po gościennych drogach
człowieczego serca.

Ja, pieśni moja,
nie zobaczę tej radości,
ale los twój
jest mi znany.

To los pieśni,
które wywalczyły wielką miłość.
Nie, żeś urodziła się
w ciemnej celi.
Oczy ludzi,
patrzających na ciebie,
oświeciła cię milionami kilowatów
światła życia.

Nie, żeś urodziła się
w zimnej, wilgotnej celi.
Ogrzeją cię miliony bojowników
na swej ciepłej pierś.
Fruńiesz jak gołąb
i powitają cię,
jak gałęzie wiosennych drzew,
ukwiecone blaskami świętej bitwy,
nasze działa na Grammos,
Jak gałęzie kwitnące,
powitają cię
zdobne flagami pokoju
rusztowania
odbudowującej się Warszawy.
I wysokie zielone szczyty
wielkiego drzewa pokoju,
wieże Kremla —
będą cię pozdrawiały z daleka.
Wszędzie dotrzesz,
i ludzie nauczą cię
mówić
wszystkimi językami świata...

szyl ramionami i podniósł się z krzesła.

— Gdzie ty znowu? — syknął niemile sekretarz. — Ludzi chcesz zagrzewać, a miejsca zagrażać nie umiesz. Poczekaj...

— Muszę tam wracać — Kuźnar zerknął w stronę okna, zza którego dolatywał warkot betoniarów. — Zetempowcy mnie prosili...

— Do ministerstwa pojedziesz? — nastawał Tobisz — przecie rozumiesz: bocznica...

— Pojadę, pojadę... Ale teraz czas na mnie.

— Czekaj jeszcze... — mruknął Tobisz szeleszcząc papierami. — Mam list od Związku Literatów. Chcą przysłać tutaj jednego, żeby popatrzał, jak budujemy. Co odpisasz?

— Niech przysła — rzucił Kuźnar od drzwi — co nam szkodzi? Byłoby się zanadto nie płać. Albo jakichś głupstw nie wypisal.

— Z nimi nigdy nie wiadomo — zasepił się sekretarz. — A wykręcać się chyba nie wypada, co?

Kuźnar pstryknął palcami i zawrócił od drzwi do biurka.

— Wiesz, sekretarzu — zmruczył przebiegle oko — mam myśl. Niech się ten literat książkami u nas zajmie. Bibliotekę, kapujesz? Jakby ludzie zwachali, że przychodzi tu patrzeć i w gęby zagłada, zaraz go zaczął do wiatru wystawiać. A tak — to bibliotekarz. Bibliotekarz i szlus. Książki poukłada, ponumeruje... Katalog wypicli... I może na przykład jakiś pogadanka oświatowo — kulturalna. Ty to przecie lubisz, nie? No, lubisz, lubisz...

Rechotał z zadowoleniem na widok nieufnej miny Tobisza. Biblioteka świeżo założona w świetlicy była skrytą dumą ich obydwo. Powstała w sposób bardzo prosty: pewnego dnia Kuźnar odbył dłuższą rozmowę z Antkiem, wieczorem po herbacie, a nazajutrz Kurnatko przyszedł z Elektoralnej 20 książek o treści politycznej i beletrystycznej, wśród których znalazł się również jeden tom Pawła Czyż. Tego samego dnia z biura budowy wyszły listy z podpisem Michała Kuźnara do kilku wydawnictw i instytucji kolportażowych. Po czym w stolarni sporządzono półki z sosnowego drzewa.

✱

Na starej budowie rządził teraz Szeling. Kuźnar w połowie marca zdał mu bieżące sprawy, rad, że się go pozbysza na dłuższy czas. Nową budowę wolał mieć czystą i całą dla siebie. Nie zniósłby w tym okresie złośliwego gadulstwa inżyniera, który ostentacyjnie podkreślał swoją apolityczną fachowość, przybierając manierę moralnego sabotażysty. Szeling, dowiedziawszy się, że ma pozostać na „Nowej Pradze III”, nie zaprotestował; zatknął tylko kićki za kamizelkę i kiwnął obojętnie głową. — Wodzu — powiedział — ja was rozumiem. Mój dziadek także był na wygnaniu. W naszej rodzinie to się zdarzało, nie jestem tym zaskoczony. I prawdę mówiąc wolę tkwić tutaj, niż w tych waszych bagnach. — Po czym zachotał i wyszedł z biura Zarządu.

Odtał do Kuźnara zaczęły dochodzić liczne pogłoski o ironicznych uwagach Szelinga na temat nowej budowy. Przywoził je zwykle inżynier Hnacki, który był w tym okolicy czymś w rodzaju łącznika między dwoma Zarządami. — P-powiedział, że g-głównym obiektem na nowej budowie p-powinien być szpital dla w-wariatów — kręcił głową Hnacki z ubolewaniem. Kuźnar machnął ręką, jakby opędzając się od natrętnej muchy; ten się już nie zniemi.

Potem Szeling zaczął przysyłać karteczki. Dostarczał ich zazwyczaj jego szofer, Bugajski, który opowiadał betoniarzom, że „szef całkiem stracił humor i schudł”. Kuźnar na kartki nie odpowiadał, gdyż treść ich była niezrozumiała. „Wodzu — pisał Szeling — mam tego dosyć. Jeżeli nie oddacie betoniarów, zgłaszam się do dymisji! Potrzebuję podobno bufetowych na dworcach, jutro składam ofertę”. Kuźnar gniotł kartkę i mówił Bugajskiemu, że odpowiedzi nie będzie. Szofer mrucał coś o dziedzińcu bursy, który od tygodnia daremnie czekał na beton.

— Betoniarów nie dam — wzruszał ramionami Kuźnar — widzicie, że tu są potrzebne.

Albo po dwóch dniach przychodziła nowa kartka od Szelinga. „Wodzu — czytał Kuźnar — jak tam pod lasem? Tutaj cicho jak w tajdze. Znowu był przestój, wskutek awarii „Zetów”. Jeżeli od jutra nie zmieniście stosunku do starej budowy, wnoszę zażalenie do Centralnej Dyrekcji”. Podpisano: „Szeling (Sybirak)”.

Kuźnar nie miał czasu, aby się zajmować nastrojami Szelinga, a na starą budowę istotnie zagładał rzadko. Na „Nowej Pradze IV” miano wkrótce przystąpić do dalszych robót ziemnych: wytoczono granice następnych wykopów, ludzi ciągle było za mało, MDM groziło rozbiciem brygad, omal że znowu nie stracono wyrwanej z jakiegoś urzędniczego gardła koparki. Prócz tego zbliżał się dzień, na który Kuźnar czekał z drżeniem serca: dzień, gdy na betonowej ławie w szpitalnym wykopie spoczna pierwsza cegła. Czemu czekał na ów dzień z drżeniem serca? Zapewne dlatego, że za prawidłowy moment narodzin budynku uważał w głębi duszy nie wibicie łopaty w grunt, nie pierwszy rzut betonu — lecz dopiero tę chwilę, gdy zrab czerwone-

go muru wyróżnie się ponad ziemię; dom zaczyna istnieć dopiero, gdy wynurzy się z gliny, która — według Kuźnara — była tonem matki dla wszelkiej nienarodzonej budowli. Cekał więc na pierwszą wysokość budynku, tak jak się oczekuje pierwszego krzyku dziecka. I przeżywał do owego momentu wszystkie wzruszenia ojca.

Tymczasem jednak pewnego dnia z kabiny ciężarowego ZiS-a, który zajeżdżał na nową budowę, przyciągnąwszy trzy przyczepy ze zwierem, wyskoczył inżynier Szeling. Omijając błotniste skrzyżowania kolein i prychając arogancko przez nos, biegł rozłoszczonymi susami w stronę baraku Zarządu.

Kuźnara zastał na naradzie z Bojarskim i Hnackim. Szeling parsknął na sekretarkę, czującą przy biurku koło drzwi i wpadł do pokoju dyrekcji.

— Aaa?... — zagał od progu ze złowrobnym uśmiechem — powitać, powitać... Trust mózgow Nowej Pragi IV... Klaniam się! — Wysunął głowę w kierunku Kuźnara, całkowicie ignorując inżynierów.

— Proszę, usiądźcie — rzekł spokojnie Kuźnar. Wskazał mu wolne krzesło.

— Postoję — odparł Szeling grzecznie i szycząco — nie jestem zmęczony. Tam — szarpnął głową w stronę starych terenów — nie ma wiele roboty. Wypożyczam książki z biblioteki i czytam. Czy znacie „Krzyżaków”? Sienkiewicz, wodzu? Bardzo interesujące. Wczoraj skończyłem pierwszy tom.

— Kolego Szeling... — próbował wtrącić pojednawczo Kuźnar — my właśnie tutaj dyskutujemy...

— A ja nie! — zadręptał w miejscu mały inżynier — a ja nie dyskutuję! Cisz, spokojnie — nie ma o czym dyskutować. Od jutra zgłaszam dymisję i w ogóle bimbam, tylko dla porządku chciałem wam oświadczyć, co o tym wszystkim myślę. A myślę, że cała ta robota nie warta jest funta kłaków!

— K-kolego... t-tak nie można... — Hnackiemu krew podeszła aż pod skraj ryżowych włosów.

— M-można! — wykrzywił się Szeling. — Wy tutaj chcecie zamki stawiać, a ja tam siedzę i widzę, co się dzieje. Ludzie klną i gadają takie rzeczy, że rzęsy by wam, wodzu, posiwiały. A ja nie mam im nic do powiedzenia. Nic! Wczoraj próbowałem, ale również dobrze mógłbym odpiewać arie z „Lo-hengrina”. Śmiejecie się? No to ja wam powiadam: lepiej się nie śmieć. Dwa dni temu stanął jeden dźwięg. A dzisiaj obydwa pozostałe. We wszystkich trzech wytopili się panewki. Ludzie nienawidzą tych „Zetów” jak zarazy. Złej maszyny nienawidzi się gorzej niż podiego człowieka. Ręce opadają, wodzu, słyszycie?

— Szeling — rzekł Kuźnar, marszcząc brwi — uspokójcie się, usiądźcie. Inżynier Hnacki zaraz tam pojedzie. Na miejscu wszystko się sprawdzi.

— Co się sprawdzi? co się sprawdzi? — wrzasnął Szeling przyskakując do biurka. — Już wszystko sprawdzono! Stoją. Haha, sprawdzi się! Hnacki! A może Hnacki pojedzie sprawdzić, czy Warszawa nie przeniosła się nad Pilicę? Stoją, powiadam. Ludzie mówią, że plan to lipa, jeżeli takie cuda produkuje Stoją, rozumiecie? Mechanicy nie chcą ich tknąć. Szmelc przysłał — powiadają — a potem chcą wyższych norm. I co wy na to, mógowcy?

Hnacki zapinał już płaszcz: w chwilę potem wraz z inżynierem Bojarskim opuścili pokój, połączony przez Szelinga wzruszeniem ramion.

Po ich wyjściu inżynier trochę się uspokoił.

— No tak... — mruknął — chcieliście rewolucji, no to ja macie. Gdzieś siedzi jakiś tam drań i wyrabia szmelc. A wy to nazywacie walką klas. Nigdy nie byłem sankiulotą, ale co wyszło z moich rąk, nie chwalać się, trzymało fason do końca. Oj, wodzu, wodzu... Nieszczęście klasę odchodząca, i co zostaje wam w ręku? Szmelc.

— Szeling — przerwał mu Kuźnar — za takie powiedzenie powinienem was przestać znać.

— Wiem — odparł Szeling — działam wam na nerwy.

— Ech, dajcie spokój, człowieku. Po co mówić, co ślina na język przyniesie? Macie szkaradną jadaczkę.

— Mam — przyznał Szeling. — Nie każdy jest stworzony do cytowania pism, jak ten wasz Tobisz. Przecież zdechłbym z nudów na dźwięk własnego głosu.

— Bez Tobisza wszystko by poszło w rozsypek. Nie widzicie tego? Ścisła przecie budowę jak rzemieślniczym pasem...

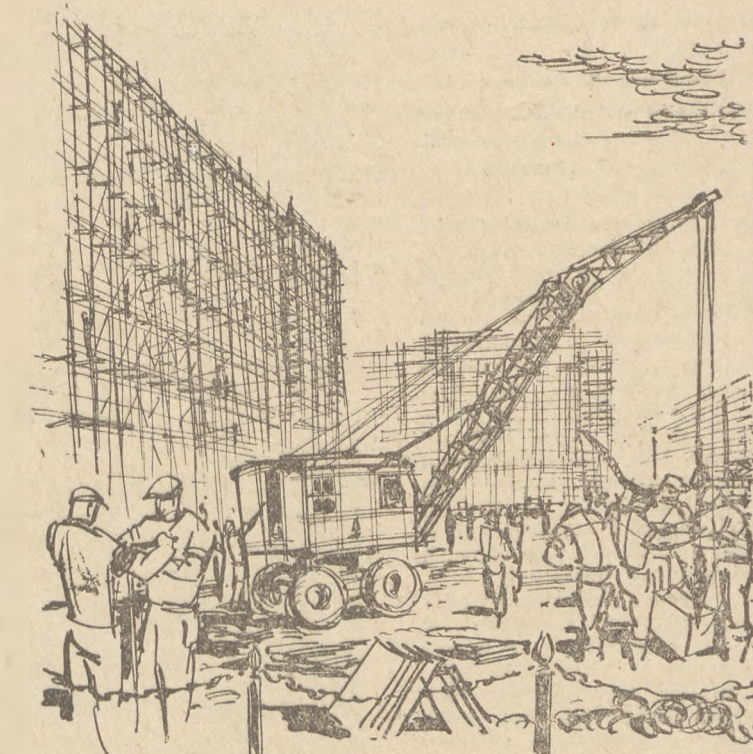
— Ścisła — kiwnął głową Szeling — no i co?

— Jak to, no i co?

— A to, że na przykład ja no-szę szelki.

— Dajcie spokój z głupstwami! kolego! — zachnął się Kuźnar za biurkiem.

Szeling zarechotał. — Jeden woli paś, a drugi szelki. Ja wolę szelki, wodzu. I może dlatego działam wam na nerwy. Wbił się sobie do głowy, że walka klas toczy się między przepaszanymi a szelkowcami. A moim zdaniem chodzi o to, żeby spodnie nie opadły! Przyszedłem tutaj was ostrzec: gdzieś tkwi draństwo, co przysłało na budowę maszyny niezdatne do użytku. A wy na mnie patrzycie, jakbym dowodził słońną białogwar-



Rys. Karol Żarski

dyjów. Powiadam: rzecz trzeba zbadać komisyjnie, smród wywahać u źródła; nie lubię marnować państwowych pieniędzy, taki już jestem. A wy mi na to jakieś koszaiki o rzemieślniczym pasku, w ogóle z zakresu przemysłu skórzanego. Daleko tak nie zajeżdżamy. Jestem fachowcem, z samolotu mnie tutaj nikt nie zrzucił i mostów nie wysadzam. Żegnaj!

— Zaraz, zaraz! — powstrzymał go Kuźnar — o co właściwie wam idzie?

Szeling stał odwrócony plecami i milczał. Po chwili znowa wykręcił głowę i rzekł cicho:

— Odstawiliście mnie. Szmelc, co? Stary demobil. Nie do użytku.

— Chłopie miłosierny... — szepnął Kuźnar w pomieszczeniu.

Szeling uśmiechnął się i zdjął okulary. Zaczął je czyścić kawałkiem irchy.

— A przysłałbym się jeszcze... — mruknął wskazując zmrużonymi oczami obszar nowej budowy za oknem.

Kuźnar przypatrywał mu się, tknięty niespodziewanym widokiem. Po raz pierwszy zobaczył jego twarz bez szkieł i zdumiał się, gdyż oczy Szelinga miały smutny, zatroskany wyraz, jak gdyby wraz z okularami odjął im zwykłą złośliwość i sztyderstwo.

✱

— Towarzyszu dyrektorze! — zawołał Iłzek — murarz Miś mnie przysłał!... Wszyscy czekają w wykopie... Zaraz zaczynamy.

Kuźnar skinął głową znad telefonu i spieszenie kończył rozmowę. Wreszcie odrzucił słuchawkę, wstał odsuwając krzesło i zaśmiał się do Iłzka stojącego przy drzwiach.

— To ty za podreęcznego? — pytał wciągając kurtkę.

— A ja — uśmiechnął się Iłzek. — To całkiem dobrze. A nie ucieknie, jak wtedy, com cię pierwszego dnia zahaczył?

Iłzek pokazał białe zęby.

— Co mam uciekać? Głupi wtedy byłem, towarzyszu dyrektorze!

— To prawda — przyznał Kuźnar. — Ile to już miesięcy? Czekaj, czekaj — liczył na palcach — październik, listopad... Chłopie miłosierny, chyba z pół roku. No ja, bogłem a prawdą, także za mądry wtedy nie byłem. Przez te pół roku dużo się zmieniło na budowie, Iłzku, co?

— Trzeba powiedzieć, że tak, towarzyszu dyrektorze — zamyślił się Iłzek. — Kuźnar znalazł wreszcie kapelusza. Głową miał tego dnia ciężką i w oczach czuł lekkie zawrót, jakby z gorączki, ale mimo to był w znakomitym humorze...

Wyszedł przed barak, kierując się w stronę wykupu pod biurowiec szpitalny, wokół którego zebrała się spora gromadka ludzi. Z daleka trudno ich było rozpoznać, zwłaszcza że marowe słońce, choć blade, raziło zlekka w oczy. Dzień zapowiadał się ładnie, dymy praskie wstulały się błękitnosiną mgiełką w drżące na skrajach przestrzenie nieba, po którym mlecze zwały obłoków ciągnęły ze wszech stron, jak na masówkę. Od ziemi szedł wilgotny wiew pół, zimowy chłód parował z rozpułchnionej gliny i mlekających kolein. Na lewo, w dziwnie tego dnia przejrzystym powietrzu, widniały różowo nieotynkowane bloki starej budowy. Tu i ówdzie pręty rusztowań mieniły się niby złotem.

Iłzek, zazwyczaj małowolny, rozgadał się nagle. Idąc obok Kuźnara, w rozpiętej wiatówce, zaczął opowiadać, że na wiosnę zawsze jest weselej.

— Ech, towarzyszu dyrektorze — mówił — człowiek to czasem jak ptak. Poleciłaby gdzieś, żeby w górę, ale gdzieś tak sobie... Nie?

— Za wsią tęsknisz? — zapytał pounie Kuźnar, brnąc powoli wśród zardzewiałych drutów i części zbrojenia. W kościach czuł mdłące niepo. Przystanął.

— Nie — pokręcił głową Iłzek — w mieście lepiej. Wczoraj byliśmy w kinie z Wielborkiem. Film taki pokazywali: „Syn pulku”. To Wielborek tak pięści zaciskał, towarzy-

szu, tak zaciskał... — Iłzek potrząsnął ciemnymi kulkami i roześmiał się. — A potem powiedział, że trzeba coś takiego zrobić, żeby cała budowa gęby otwarła.

— Aha — zrozumiał Kuźnar — ja to znam. Się się wtenczas wielką czuje. Wiem, wiem...

— Się — przytwardził Iłzek. — Ale po kinie gdzieś się ona podziała, nie znajdziesz. Wróciliśmy tutaj, do hotelu — mruknął — i smutno było. Ze niby trzeba coś zrobić, ale co? I poszliśmy spać, towarzyszu.

Iłzek westchnął i ruszył dalej w ślad za Kuźnarem, który wypatrywał czegoś wśród czekającej koło wykupu grupy ludzi.

— Jest Tobisz — rzucił szybko — już czas.

W dole, na dnie wykupu, czyniono ostatnie przygotowania. Podręczni uklepywali ziemię dla murarzy, młody kierownik odcinka tłumaczył coś Zwierzynskiemu, wodząc ołowiem po rysunku roboczym; Miś układał sobie cegły. Niektórzy robotnicy byli tylko w swetrach, młodzi pozawijali nawet rękawy koszul, na czystej piersi widac było fioletowy tatuaż. Ramiona i szyje miały jeszcze bladą, wiosenną barwę, ledwie przyrzmienioną przez słońce.

Gdy Kuźnar nadszedł z Iłkiem, z gromadki stojącej nieopodal wykupu padło kilka powtań, uniosła się garść czapek i ktoś powiedział: — Zaczynamy, dyrektorze, dzień jak malowanie...

Tobisz przysunął się do Kuźnara. Na jego szarej twarzy wystąpił jakby cien rumieniec, wietrzyk rozwiewał mu poły paletka.

— Powiesz coś? — bąknął półgębkiem.

Kuźnar przymarszczył się niechętnie.

— Nie trzeba — potrząsnął głową — sami rozumiem...

Zerknął na zegarek. Było blisko południa. Słońce przebiegało się przez gruby, siwy obłok o różowawych kłębach. „Ciepło” — pomyślał Kuźnar, nieco zdziwiony ociężałością własnego ciała w tak dawno upragnionym dniu. Do wykupu wlażył Pobieżny, butelka z mleczną herbatą sterczała mu z kieszeni granatowej kurtki. Na dole rozpiął ją i zaczął się znowa rozdziewać, zagadując do Misia, który dawał ostatnie wskazówki Iłzkowi. Po czym obydwa ułożyli kurtki w kącie wykupu, porządnie, jedną na drugiej. Czelis stał pod brunatną, gładko uciętą ścianą ziemi, oparty na drewnianym stoperze, i uśmiechał się z dołu do Kuźnara.

— A ty co? — zażartował Kuźnar, zszedłszy po deskach do wykupu — murować ci się zachciało?

— Nie — roześmiał się Czelis mrugając niebieskimi oczami — ja tylko tak, do pomocy! Śmiał się, jak zawsze, zbyt głośno, przestępując z nogi na nogę i przekrzywając głowę ostrzyżoną do skóry.

— Nie rzyj! — zawołał ktoś z góry. — Czelis, uspokój się!

Iłzek podeszł doń i rzucił mu półgłosem parę słów. Czelis od razu przychylił. Posmutniał trochę, ale nie odrywał okrągłych oczu od Kuźnara.

Miś stał już przy betonowej ławie. Musnął od niechcenia sznur, potem splunął w dionie i otarł je o spódnie. W tej samej chwili ruszył się Pobieżny, za nim Zwierzynski w czapce z zadartym daszkiem... Naddiegił podręczni.

Kuźnar szybko ogarnął wzrokiem cały obszar wykupu: znieruchomiałych ludzi, rozstawione kupy cegieł, łaczki zbryzgane wapnem, ziemią, betonowy zwal... W oczach zamigotał mu sznur, przeciągnięty poziomą białą, prostą linią.

— Zaczynać, chłopcy! — zawołał.

Stał przez chwilę na ostatnich od wzruszenia nogach, a potem mruknął do Tobisza, który mówił coś do niego: — Zaraz, zaraz, poczekaj...

I nie wiedzieć jak, znalazł się nagle za plecami murarza Misia, sięgającego po cegły.

— Pozwólcie... Miś... — szepnął. Mignęły mu w oczach czyste zdziwione twarze, ale nie zważał na to. Poczuł na czole ciepłe dotknięcie

(Dokończenie na str. 7)

Ś m i e r ć p u s t y n i

„To prawda, przerosł nas ten wiek,
Nie my, to do gwałtu go wy-
nieśli
Poskromiciele klimatów i rzek,
Przemieniacze historii — wszech-
cześni.
(Jastrun)

Kwitnie już Step Głodo-
wy — straszliwa ongiś pu-
stynia na granicy Kazach-
stanu i Uzbekistanu —
o powierzchni 9,5 tysiąca
kilometrów kwadratowych.
Szturm na pustynię — budowa
elektrowni wodnej na rzece Syr-
Daria i nawodnienie stepu —
rozpoczął się w lutym 1943 ro-
ku. Wojna była wtedy w pełnym
toku. Na przygotowania nie było
czasu. Nie było czasu na budowę
domów: personel budowniczy gnie-
dził się w szałasach, ziemiankach
i pieczarach nad urwistymi brze-
gami Syr-Darii. Zatrudnieni przy
wykopach komsomolcy nocowali w
odległej o cztery kilometry wiosce
i co wieczora pokonywali tę odle-
głość, walcząc ze wściekłym wia-
trem stepowym. Na ostateczne
zwyściestwo budowniczych składało
się dużo mniejszych i większych
zwycięstw. Kuchnie z kominami
zamiast dymiącego paleniska — to
było zwycięstwo. Budy chroniące
przed deszczem i śniegiem — zwy-
cięstwo. Piekarnie, wypiekające
chleb i placki — zwycięstwo! Kel-
men, lopata i motyka, ustępujące
miejscu koparkom — oto wspania-
łe zwycięstwo. Przyszłość i taki
dzień, w którym na festiwalu
twórczości amatorskiej związków
zawodowych pracowników budo-
wanych w Taszkencie — zespół
„Farchad-stroj” zdobył pierwsze
miejsce: był to dowód bardzo do-
brych wyników pracy na budo-
wie. Nad Syr-Darią powstał dom
wypoczynkowy dla stachanowców...
W 1947 roku tama Farchadzka była
gotowa.

A teraz? Wody Syr-Darii biega-
ją przez 200 kilometrów kanałami
irygacyjnymi, nad kanałami wyrosły
zielone mury lasów w sadach ko-
chozów i sownych rosła winna, jabłonie,
brzoskwinie, winogrona. Pola białą
się kwitnącą bawełną — zbiera
ją się po 35 cetrarów z hektara.
Ludzie chcą osiągnąć jeszcze
więcej, ganią się do wiedzy.
W przodującym kolchozie „Pachta-
Aral” pracują agronomowie, specja-
liści od irygacji, leśnicy, me-
chanicy, ogrodnicy, technicy budo-
wani, którzy niedawno jeszcze
byli zwykłymi robotnikami. Obecnie
traktory, elevatory, buldożery i ko-
parki pomagają ludziom w ataku
na 20-tysięcznohektarowy maszyn
„Dżetysaj”. Równocześnie rośnie
nowe miasto.

Spełniło się marzenie legendarne-
go bohatera Uzbekistanu — Far-
chada. Jest pewna skala nad brze-
giem Syr-Darii. Na niej — głosi
legenda — siedział Farchad i ma-
rzył o tym, by wody rzeki skiero-
wać w Step Głodowy.

Woda była i jest zasadniczym
problemem całej Azji Środkowej.
W starożytności narody Azji Środ-
kowej i Zakaukaskiej ożywiały pu-
stynie wodą sprowadzaną z gór.
I jeszcze przed trzydziestu laty
zręczano tam pola tym systemem.
Po Rewolucji Październikowej sy-
stem ten, rzecz jasna, ustąpił miej-
scu innemu.

Stare przysłowie uzbeckie mówi:
„Gdzie kończy się woda, kończy
się i ziemia”. „Przez ziemię bogac-
za przechodzi woda, przez zagro-
dę biedaka — zakurzona droga”.

Tak, to była prawda. Z wody ko-
rzystali kuciacy, uprawiający „bez-
prawie wodne”. Ludzie nie mogą-
cy zapłacić za wodę, a więc po-
zbawieni możliwości uprawiania
ziemi, nazywali się „artykcy” —
„niepotrzebni”. Przekupiony „staro-
sta od wody” — mirab — kiero-
wał wodę na pola bejów, skazując
ziemię ubogiej ludności na nieuro-
dzaj. Z tego powodu wybuchały
krwawe starcia między chłopami
z różnych kizlaków^{*)}, którzy nie
mogli doczekać się swej kolejki po
wodę.

To należy już do przeszłości.
Już nie trzeba przekupywać mira-
ba, nie trzeba bić się o krople wo-
dy.

W samej strukturze naszej pla-
nety tkwią oszalańcujące możliwości.
Gdyby zbudować na Gibraltar-
rze elektrownię wodną, Gibraltar
stałby się niewyczerpanym źródłem
energii. Można nawodnić Saharę
tak jak Główny Kanał Turkmeński
nawodni pustynię Kara-Kum. Fizyczna
ludowa ziemia sprzyja
człowiekowi. Ale socjalna struktu-
ra społeczeństwa kapitalistycznego
przeszkadza w realizacji tych pla-
nów.

Dziewiętnasty Zjazd przewo-
dził zakochanie wielu z nich w ra-
mach piętej pięciolatki (elektrownia
Kujbyszewska) i rozpoczęcie
budowy nowych wielkich elektrowni
wodnych na Wołdze, Kamie,
Irtyszu oraz wykorzystanie zasob-
ów wodnych Angary.

LEGENDY I RZECZYWISTOŚĆ

Straszliwą siłą jest piasek pusty-
ni. Pożera wszystko. Prze naprzód.

*) Kizlak — wioski azjatyckie.

W ciągu dziesięciu lat wydma pias-
zczysta może przesunąć się o 150
metrów. Piasek jest nieubiegany.
Nie był nieubiegany. Bo człowiek
nauczył się pokonywać go. Gospo-
darstwa leśne na trasie kanałów
biegnących przez pustynię zwi-
ają ruchome piaski saksualem. Jest
to drzewo podobne do sosny, ma
długie cienkie liście. Dawna legen-
da kirgizka o saksuale głosi: „da-
wniej było to drzewo wysokie,
wysokie na równi z sosną. Ale kie-
dyś posprzeczawszy się z sosną,

biały i czarny saksau, ale i biała
akacja, klon, jesion, orzech włoski,
drzewo morwowe, karagacz. Szcze-
gólnie piękny jest karagacz. Jego
złota z drobnych listków, okrągła,
ciemna czapa jest gęsta jak futro
niedźwiedzie.

Pasy roślinności rozciągną się na
szerokość pięciu kilometrów po
obu stronach kanału. Stworzą o-
bramowanie zbiorników wodnych,
otoczą miasta i osiedla. Dużo bę-
dzie drzew morelowych i brzo-
skwiniowych, orzechów greckich i

menie w suchą ziemię doliny. Na
budowę kanału wyjechał teatr dra-
matyczny i opera z Taszkentu, 28
kni obajdowych, 10 zespołów mu-
zycznych.

Zaczęło się!”

I dalej: „...entuzjazm budowni-
czych rósł z każdym dniem, oba-
lając wszystkie normy i harmono-
gramy. Ośmiem norm, dziesięć
norm, piętnaście norm dziennie!
Biegły depesze: „Wysyłajcie worki!
Tysiąc, dwa, trzy, ile znajdziecie!”

Duchmatów używał worka za-
miast taczek. Jego naśladowcy rzu-
cali taczkę, żądali worków. Do ko-
chozów pędzili na koniach jeźdźcy
po kowali i cieśli — do toczenia
ketmenów, do naprawy taczek. Z
kolchozów pędzono na trasę stada
baranów, wzięto owoce i jarzyny.
Z miast jechali i szli wycieczkowi-
cze.

Biegły depesze: „Wysyłajcie jak
najwięcej książek. Zapotrzebowanie
obrzymie!”

Budowa Kanału Fergańskiego
tak się ma do obecnych budowli
jak ketmen do kroczącej koparki.
Co zdzialałoby obecnie człowiek
przy pomocy ketmenia, taczek i
worków? Sama budowa węzłów hy-
droenergetycznych pod Kujbysz-
ewem i Stalingradem wymaga wy-
dobycia i usypiania 750 milionów
m. sześć. ziemi. Ta ilość ziemi wy-
starczyłaby do pokrycia trzech ta-
kich miast jak Tokio warstwą me-
trowej grubości. Do przewiezienia
tej masy ziemi trzeba by 20 mi-
lionów platform. Taki pociąg mógł-
by trzykrotnie opasać kulę ziem-
ską. Wszystkie nowe hydrobudowie
nad Wołgą, Dnieprem i Amu-Da-
rią, to półtora miliarda m. sześć.
nasypano i wykopów. Tyle co 600
piramid Cheopsa. Jak śmiesznie
mają przy tych cyfrach Kanały
Sueski i Panamski. Prace ziemne
przy ich budowie wyraziły się cy-
frą tylko 435 milionów m. sześć.
wydobytej ziemi.

Ci, którzy budowali „Dniepro-
ges” pamiętają o kolosalnych trud-
nościach, z jakimi związana jest
taka budowa. A jakież są trudno-
ści przy wnoszeniu nowych elek-
trowni wołańskich, z których każ-
da przerasta „Dnieproges” kilka-
krotnie!

W DRODZE DO KOMUNIZMU

Technika radziecka musi biec
szybkim pędem, by dotrzymać kro-
ku myśli ludzkiej. Przemysł musi
dostarczyć Budowlom Komunistom
wszystkiego, co potrzebne do ich
realizacji. Oczywiście, nie kopacz
usypują łopatami gigantyczne ta-
my. Nie kopacz wynoszą w wor-
kach, na własnych plecach setki
milionów metrów gruntu. Dawni
kopacz obsługują obecnie kroczą-
ce koparki, hydromonitory i pompy
ziemne; te maszyną pracują na
człowieka. kopia, kruszą i rozpusz-
czają grunt. Pompy ziemne nowej
produkcji radzieckiej przerabiają
po 1.000 m. sześć. miazgi gruntu-
wej w ciągu jednej godziny, czyli
2 tysiące wiader na minutę. Dzie-
sięć takich pomp przez półtora
miesiąca ciągłej pracy może roz-
puścić ponad 5 milionów metrów
sześciennych gruntu, co równa się
postawieniu tamy Kujbyszewskiej.

Woda, kolejami i szosami, prze-
biera przeczucą gigantyczną ilość
materiałów budowlanych, mecha-
nizmów i sprzętu. Tylko Kujby-
szew i Stalingrad pochłonęły miliony

nich jak mrówka — ogarnia nas
bezwzględny podziw dla potęgi ro-
zumu ludzkiego.

Cały kraj pracuje dla Wielkich
Budowli. Nie ma prawie w ZSRR
zakładów przemysłowych, które nie
szczyliłyby się wykonywaniem dla
nich zamówień. Cały naród budo-
je komunizm. Jadą na Wielkie Bu-
dowie ludzie z najdalszych zakąt-
ków Związku, ludzie wszelkich za-
wodów, pragnąc przyczynić się w
jakiejkolwiek mierze do wielkiej
sprawy. Jadą geolodowie, inżynie-
rowie, hydrologowie, topografowie,
dzwigowci, hagermajstrowie, projek-
tanci, mężczyźni i kobiety, mło-
dzieńcy i dziewczęta, byli żołnierze
i oficerowie, ludzie bez określonego
zawodu, w nadziei zdobycia go
tam. Tam jest wspaniałość, porywa-
jąca praca, tam są możliwości zdo-
bycia i podwyższenia kwalifikacji,
tam jest nauka i wszystko, czego
potrzeba człowiekowi. Szczęśliwi
ci, co mają „zaproszenie” do pra-
cy z wydziału personalnego budo-
wy. Ci, którzy tego papierka nie
posiadają, spodziewają się poweto-
wać ten brak uporem w dążeniu
do celu i namiętnym pragnieniem
uczestniczenia w budowie. Jadą
pojedynczo, lecz najczęściej grupami
— człowiek radziecki przywykł
do życia i pracy w zespole.

LUDZIE, KTÓRZY BUDUJĄ

Temat zbyt obszerny, by wyczer-
pać go w kilkudziesięciu wiers-
zach. Przeciętnemu człowiekowi
epoki socjalizmu poświęcona jest
cała współczesna literatura radziec-
ka. Prasa codziennie opisuje ludzi,
którzy wstawiają się swą codzien-
ną pracą. Niepodobna takich rze-
czy streszczać. Wątpliwości nie u-
lega jedno: że wszystko to są naj-
zwyklejsi w świecie ludzie, mają-
cy swe radości i troski, ludzie, któ-
rzy kochają i śpiją, martwią
się i śmieją. Tak jak my.

„Droga Ty moja! — pisze z budo-
wy inżynier Anna Kowalewa
list do przyjaciółki. — Co tu są za
ludzie! Jestem pewna, że gdybyś
była tu, to nawet przy Twoim
„trzęsawym” umyśle zakochałabyś
się zapewne i to nie w kimś wy-
branym, lecz we wszystkich od ra-
zu! Wszyscy tu rozpływają się o
dwóch dziewczętach — przyjaciół-
kach, elektrosprawczkach. Nieby-
wał! rzeczył! Przy spawaniu szkie-
letów wykonują 1000 proc. normy.
Tobie, inżynierowi, nie trzeba wy-
jaśniać, co to znaczy. Wyobrażałam
sobie, że są to jakieś legendarne
bohaterki. Ale siedzę pewnego ra-
zu na koncercie w naszym klubie
— przyjechali do nas na występy
artyści z Teatru Wielkiego — Mi-
chajłow śpiewa arie z „Iwana Su-
sanina”. Szybko w oknach drżą.
Obok mnie siedzą jakieś dwie
dziewczynki, malutkie, szczuplut-
kie, obie bardzo ładne w swoich
jedwabnych sukienkach i lekkich
pantofelkach. Słuchają i płaczą:
szkoda im Susanina. Żyją jak
groch spływają im po policzkach,
a one nie zdają sobie z tego spra-
wy. Bardzo mnie one zaciekawiły.
Na przerwie pytam znajomego in-
żyniera, kim s., te śmieszne dzie-
wczęta. A on mi na to z wyrzutem:
„No wście! Jak można ich nie
znać? Przecież to są te nasze słyn-
ne spawaczki! Cały kraj mówi o
nich, a wy — że śmieszne!” Masz
tobie, żyj jak groch!

„Nie jestem oczywiście tak na-
twna, by wyobrażać sobie, że
wszystko budujemy tylko my, pra-
cujący tu na budowie. Podobno na

stepstwie, dopóki nie wyszkolą od-
powiedniego człowieka. I natych-
miast okropni się skompromito-
wał. Technika prześcignęła wszystko
to, o czym uczyliśmy się tak nie-
dawno. I pewny siebie inżynier
Teos musiał poświęcić się na sa-
mą budowę, aby poduczyć się u
tamtęjszego kierownika pompy,
zdemobilizowanego żołnierza, który
na budowie stał się wykwalifiko-
wanym hyromechanikiem.

Zresztą wszyscy tu uczą się bez
przerwy, i ja między innymi rów-
nież. Nie można się tu nie uczyć.
Robimy przecież rzeczy, których nie
było jeszcze jak świat światem. W
toku pracy sami dochodzimy do
nowych metod, odpowiadających
nowej, niebywałej technice, a to z
kolei każę nam uczyć się ciągle i
podwyższać własny poziom. Wsła-
dam raz do sferki 25 tonowej
wywrotki (mamy już i takie) aby
dojechać do centralnego osiedla.
Na jakimś wyboju maszynę pod-
rzuciło. Spoza tablicy rozdzielczej
upadły mi na kolana dwie książ-
ki: „Mechanika” i „Wytrzymałość
materiałów”. Szofer rozemniał się
na widok mojej zdumionej miny:
Co cię tak dziwi, panienko? Tech-
nikum skończyłem jeszcze przed
wojną. Teraz to już nie wystar-
cza. Widzisz, jaką mi powierzono
maszynę! Zapisalem się więc ra-
naukę korespondencyjną do insty-
tutu eksploatacji samochodów”. Sz-
oferowi nie wystarczyła średnie wy-
kształcenie! Widzisz, co się u nas
dzieje!?”

„Oto historia wartościowej prze-
syłki z Soczi, którą otrzymał in-
żynier Pasuchow, kierownik jednego
z odcinków robót na Wołgo-Donie:
Nadawca — Arseniusz Lamin prze-
bywał, jak się okazało, w sanato-
rium na Krymie. Inżynierowi obce
było to nazwisko, zdumiony ogl-
dał paczkę, nie mógł domyślić się
o co chodzi. Czyżby nieznanemu przy-
jacielowi posłał mu wino i owoce
krymskie?”

Wreszcie paczka zostaje otwarta.
Jest to skrzynka, starannie wyscie-
lona gazetami, leżą w niej jakieś
woreczki. Inżynier rozwiązuje je-
den z nich — a stół spada grad
żołędzi, lśniących jak korale
bursztynowe. W innych worecz-
kach są nasiona klonu, kasztana,
białej akacji i jeszcze jakieś, zupeł-
nie inżynierowi nieznane.

Co to ma znaczyć?!

Ale do przesyłki dołączono list.
O następującej treści:

„Szanowny Obywatelu Inżynierze!

Piszemy krótko, bo wiemy, że
jesteście bardzo zajęci na budowie
i czas wasz jest bardzo drogi.
Przeczytaliśmy na zebraniu druży-
ny pionierów wasz wspaniały ar-
tykuł o budowie kanału i postano-
wiliśmy napisać do Was...”

„Napisałicie w swoim artykule,
że robotnicy setek zakładów ra-
dzieckich pomagają Wam w budo-
wie i że cały naród bierze w niej
udział. Długo myśleliśmy nad tym,
w jaki sposób mogliśmy i my pomóc
Wam. I zdaje się, żeśmy
wymyślili. My, pionierzy, znajdu-
jący się w sanatorium, postanowi-
liśmy zebrać w naszym parku na-
siona pięknych drzew i krzewów i
posłać je Wam, na kanał, abyście
je tam zasadzili. Niektórzy chłopcy
i dziewczęta czują się już lepiej,
choćby więc ebrać właśnie to, co
Wam posyłamy. Nasza pomoc jest
mała, oczywiście, ale bardzo
pragniemy przyczynić się cokol-
wiek do budowy i bardzo będzie-
my się cieszyć, jeżeli z tych na-
sion wyrosną nad kanałem piękne
drzewa i krzewy. Przekażcie nasze
pionierskie pozdrowienia towarzy-
szom... i innym budowniczym, o
których tak ładnie napisalście w
Waszym artykule.

Przewodniczący rady drużynowej
A. Lamin”

Pod listem było mnóstwo innych
dziecięcych, starannie wykaligrafo-
wanych podpisów.

I jeszcze raz niech przemówi A-
nia Kowalewa:

„Mieszkam teraz w jednym z u-
rocznych domków. Mam przytulne
mieszkanie z łazienką. Z początku
było nam ciężko. Mieszkaliśmy w
namiotach, pracowaliśmy w siat-
kach przeciw komarom, walczyli-
śmy z obrzydliwymi muszkami...
Dokola był głuchy step gdzie tyl-
ko susły mieszkają i pełzały po
ziemi wstrętne gady, krótkie jak
marchewka ale okropnie złe. Ale...
jakie znaczenie miały te wszystkie
niewygody w porównaniu z tym,
co dała nam budowa? Nie ma te-
raz pioniera, który nie znalazłby
rozmiarów jej doniosłości. „Czy
można to zresztą pisać? Przecież
to komunizm, o którym marzyły
od wieków najświatlejsze umysły
ludzkości, prawdziwy komunizm
wkracza z dnia jutrzejszego w nasz
być dzisiejszy! I czy może cokol-
wiek dorównać tej dumnej, tak,
właśnie dumnej świadomości, że
oto ja, Anka Kowalewa, córka po-
ległego na wojnie żołnierza, two-
rząc we wszystkie gigantyczne nie-
l wałe budowie, które będą zdo-
biły naszą ziemię w dwu- i w
trzytysiecznym, i kto wie w któ-
rym jeszcze roku!”

Opracowała Rozalia Lasotowa



stoczyło z nią bitwę. Pokonane u-
ciekło w step. I zniżyło się tak —
by sosna nie mogła go dojrzeć.
A sosna szukając go wyciągnęła się
jeszcze bardziej, jeszcze wyżej i
poszła go wyglądać na szczytach
wysokich.”

Nasiona saksułu rozsiewa się z
samolotu. O świecie lub zachodzie,
gdy nie ma wiatru, nad pustynią
startuje mały samolotek. Leci na
wysokości 25 — 30 metrów, niesie
z sobą przyszłe lasy, niesie „zieloną
śmierć” pustyni. By nasiona nie
rozsięwały się zbyt gęsto, dodaje
do nich trochę piasku. Saksauł
żyje 20 lat, potem korzenie jego
giną. Używa go się też na opał —
pali się jak węgiel kamienny.

Początkowo, gdy leśnictwo było
tu nowością, starzy Uzbeki uśmie-
chali się nieufnie.

„Kto może zatrzymać piaski, py-
tam?” — mówił starzec w białym
zawoju. — „Patrzą na ten piasek”
— starzec rozwiierał palce i ziarna
piasku wysypywały się z jego
dłoni. — „Ziarna piasku są jak
gwiazdy. A kto, pytam, może za-
trzymać gwiazdy? Allah tak już
stworzył te piaski. Prorok też nie
uczył nas jak je zatrzymywać”.

— „Tak, ale styszałem, że u
chrześcijan, w ich Starym Testa-
mencie ktoś zatrzymał słońce” —
mówi w zadumie inny starzec,
wielki dogmatyk, który w młodo-
ści korespondował z Lwem Tołsto-
jem w kwestiach religijnych.

— „Słońce na firmamencie jest
jedno, a gwiazd niezliczona ilość”
— upiera się przy swoim pierwszy
starzec.

— Wybaczcie, że się wtrącam,
Rizamat-aka — odezwał się z sz-
cunkiem jego wnuk, komsomolec.
— Stary Testament, ponieważ jest
stary, nie może w tej dziedzinie
powiedzieć nic rozumnego, ani no-
wego. Słońca zatrzymać nie mo-
żna, gwiazd również, ale piaski
można zatrzymać z pomocą roślin-
ności. Już zabraliśmy się do tego”.

Teraz nikt już nie prowadzi ta-
kich rozmów. Teraz ten sam si-
wobrody starzec, już bez turbanu,
mówi z wyrzutem do dziewczyn-
leśnika: — Dziewczyno, dziewczyno,
mało drzew sadzisz. Nasz ko-
choz chce mieć nową bawełnę, ale
wypierw trzeba ją ostonić przed
piaskami”.

Prócz rozmaitych odmian drzew
(czerech i kandyd) na pustyniach
rosną krzewy krzaki i „półkrzaki”.
Są przepiękne, gdy kwitną w
kwietniu, ale trwa to bardzo krótko.
Wiosna jest tu cudowna, ale
mija szybko, przychodzi po niej
lato, które spala wszystko do cna.
Wtedy właśnie roślinność pustyni
w całej pełni ujawnia swą zdumie-
wającą umiejętność wydobycia
wilgoci dosłownie spod ziemi. Za-
cyna działać skomplikowany „wo-
dociągowy” system korzeni, dłu-
gich niekiedy prawie na sto me-
trów. Krzaki rosną na piaskach
tylko przez jeden rok; co roku na
nowo zaczynają swoją robotę.
Wzbudzają szacunek swą pracowito-
ścią.

Nad Głównym Kanałem Turk-
meńskim walczyć będzie z ognis-
tym tchnieniem pustyni nie tylko

roślin podzwrotnikowych — fig,
daktyli, cytryn.

Niech tylko na pustyni pojawi
się woda, a już zieleni depce jej po
piętach, ba, zabiega jej drogi! Tak
było na budowie Wielkiego Kana-
łu Fergańskiego, tak bywa i teraz.
Jeszcze hydroelektrownia nie skoń-
czona, a już na skarpach zielenią
się drzewka brzoskwinie, pojone
przez ludzi wodą studzienną.

Siła wody, przeciwstawiająca się
wiatrom siła drzew i krzewów,
obfitość słonecznego ciepła i świa-
tła połączy ziemię zroszoną w je-
dną wielką oazę. Zielona śmierć pu-
styni, to szczęśliwe życie człowieka.

OD KETMENIA DO KOPARKI

Legendą niemal wydaje się dziś
pamiętnik lekarza, który pracował
na budowie 270-kilometrowego Ka-
nału Fergańskiego w Uzbekistanie,
gdzie ketmen^{*)}, motyka i łopata
były początkowo głównymi narzę-
diami pracy. Koparki przysły na
budowę fergańską znacznie później
(mimo to budowa trwała tylko 45
dni).

„Rozpoczęcie robót na WK —
czytamy u Pawlenki — wyznaczo-
no na dzień 1 sierpnia 1939, ale na
długo przed tym dniem, w poło-
wie lipca, z górą czterdzieści ty-
sięcy ludzi pracowało już z roz-
machem na całej długości trasy...
W tym czasie stołówki i punkty
sanitarne nie były jeszcze zorgani-
zowane... 24 lipca ukazały się
pierwsze numery gazet „Na budo-
wie stalinowskiej” i „Stalin Kuru-
liszida”. Przybyła na trasę bryga-
da artystów, zaczęli walić ludźmi z
Andżanu, Kirowa, Margielanu...
27 lipca, trzy dni przed rozpoczę-
ciem robót, zarejestrowano na tra-
sie 54 tysiące kolchoźników. Do
sztabu WKF leciały depesze: „Nie-
możliwe powstrzymać pęd pracy.
Dawajcie sygnał rozpoczęcia robót”.
28 lipca na trasie było już prawie
sto tysięcy robotników i już po
całej budowie mknęła wieść o
kolchoźniku z artykułu imienia Stali-
na, Chaszimowie, który w ciągu
czterech godzin wykonał normę
dziennej w 300 proc.; o Szakirze
Hakimowie, który dał dwie i pół
normy; o Mamacie Dawlatowie,
który wykonał dwie normy... W
przeddzień 1 sierpnia otwarto 400
domów towarowych i sklepów, na
trasę wyjechało 120 ruchomych kio-
sków z żywnością, uruchomiono
300 herbaciarni, 85 stołówek, 10
bibliotek, 20 szkół dla likwidacji
analfabetyzmu i 8 żłobków dla
dzieci kolchoźników. Miasto namio-
tów, jurt i drewnianych baraków
rozciągnęło się na 200 kilometrów.
Przystąpiło do pracy 1800 nauczy-
cieli. I chociaż początek robót nie
ogłoszono jeszcze oficjalnie, na
trasie wydobyło już ponad 300 ty-
sięcy metrów sześciennych ziemi.
31 lipca Dunan Dusmatow wstawił
się na całą republikę, wykonując
8 norm w ciągu jednego dnia.
Dziennikarze padali z nóg. In-
żynierowie denerwowali się. Czy to
już początek, czy jeszcze nie? Cze-
kano na sygnał. I gdy o świecie 1
sierpnia padł wreszcie sygnał, 160
tysięcy robotników wbiło swe ket-

*) Duża motyka, używana powszechnie
w Azji Środkowej zamiast łopaty.



ton cementu, setki tysięcy ton me-
talu, setki milionów sztuk cegieł,
dziesiątki milionów metrów sześcienn-
ych piasku, kamienia i żwiru.
A wszystko to trzeba najpierw zdo-
być lub przygotować, a potem w
porę dostarczyć na budowę. Bez-
graniczne pole do popisu dla in-
icjatywy twórczej i nowatorskiej
naukowców radzieckich we wszyst-
kich dziedzinach! Przynaglony po-
trebami epoki, przynaglony tem-
pem budownictwa komunistyczne-
go jutra, umysł ludzki tworzy —
nie cuda — tworzy niebywałe mo-
cy mechanizmów, które pracują za
człowieka, i na człowieka. Gdy o-
glądamy w prasie radzieckiej fo-
tografie zakładów przemysłowych,
zdjęcia hal fabrycznych, w któ-
rych gigantyczne warsztaty produ-
kują gigantyczne części turbin i
maszyn — człowiek wygląda przy

nasz tylko obiekt pracuje pięćset
radzieckich zakładów przemysł-
owych. Ale to jednak nie to samo,
co oglądanie na własne oczy ro-
snących w nagim stepie z dnia na
dzień gigantycznych budowli i do-
kładanie do nich cegiełek własną
ręką.

„A ile tu pola do popisu dla
myśli technicznej! Budowa roślin
w oczach, i tak samo szybko ro-
sną ludzie. Przybyliśmy tu razem
z nowymi pompami ziemnymi. Ale
nie z tymi stumetrowymi, o jakich
uczuliśmy się na studiach; są to
potężne, niedawno skonstruowane
pompy o wydajności 500 m. sześć.
gruntu na godzinę. Na jednym z
takich statków potrzebny był kie-
rownik. Teos Koszkin z wyżyn
swego dyplomu inżyniera bardzo
protekcjonalnym tonem wyraził
gotowość „popracowania” w za-

KRISTYNA ŻYWULSKA

Rysunki J. ŻEBROWSKIEGO

Na marginesie stenogramu Narady satyryków



Jerzy Zaruba i Jerzy Andrzejewski

Są ludzie, którzy gdy słyszą słowo „satyra” widzą nieuchronnie felietony Wiecha i Grodzkiej. Są inni. Ci, którzy Wiecha i Grodzką czytają, owszem, ale raczej „w konspiracji” i nawet bardzo serdecznie się śmieją, na zewnątrz jednak uznają tylko Gogola i Szczędrina.

Jak wykazała II Ogólnopolska Narada Satyryków, satyra to nie tylko mała forma i nie tylko duża forma (którą nam brak), ale to również karykatura w prasie i plakacie, i dodatki satyryczne (które są i których nie ma). Satyra to nie tylko teksty na estradzie (te które są i te których nie ma i dlaczego), to komedia, której nie ma, to wreszcie krytyka, która powinna być inna i dlaczego. A więc krytyka małych i dużych form i karykatury w prasie i plakacie satyrycznego, i teatrów satyrycznych, i „Artozu” i taka, żeby pomogła do powstania komedii. Powtarzam to wszystko nie dlatego, że mi płacą od wiersza, ale dlatego, że ogrom zagadnień, czyli jak się to mówi ładnie i modnie „szeroki wachlarz” był chyba najbardziej charakterystyczną cechą tej Narady.

Dlatego przemawiało 45 mówców, a zapisanych do głosu było jeszcze kilkunastu, a termin zakończenia obrad upłynął i trzeba było zamykać i resztę opowiedzieć znajomym.

Tak więc w tym natłoku zagadnień nie można się dziwić, że kol. Kobyliński wyraził żal, że za mało się mówi o plakacie satyrycznym, a kol. Huszcza ubolewał, że za mało się mówi o roli humoru, a kol. Jankowski podkreślił, że za mało się mówi o prasie terenowej czego oczekiwał, a kol. Wiktorczyk, że za mało o Polskim Radio, a kol. Praga, że za mało o satyrze w prasie codziennej, a potem wyszedł na mównicę jeszcze jeden kolega i powiedział, że nie chciałby się powtarzać, ale się powtórzył i powiedział, że za mało to się mówi o...

W sumie sądzę, że na samo wymienianie, sygnalizowanie, apelowanie i podkreślanie, o czym się nie mówiło i co należałoby poruszyć, straciłoby również trochę czasu. Nie wspominałabym o tym, ale to trochę „typowe”, bo na innych naradach podobnie się to od-

bywa. Dlatego może maleńki wniosek racjonalizatorski: aby zamiast mówić, o czym się mówiło, mówić właśnie o tym, o czym się nie mówiło. Ale to oczywiście projekt na marginesie.

Około dwugodzinnego referatu Mitznera wysłuchano po prostu zachłannie, gdyż każdy znalazł w nim odpowiedź na to, co go nurtowało od lat. A więc wyjaśnienia roli satyry w Polsce Ludowej, jej tradycji narodowych, sprawy typowości, roli satyry jako krytyki, humoru, śmiechu itd.

Marianowicz mówił rzeczowo, może nie tyle „o współczesnej literaturze satyrycznej”, ile o jej błędach i brakach. I chyba słusznie, bo czy można w czasie jednej narady, tj. pięciu referatów (nie licząc przemycanych jako głosy w dyskusji) zanalizować twórczość wszystkich satyryków działających w kraju? Wprawdzie kol. Brzechwa mówił, że satyryków można wyliczyć na palcach obydwu rąk i jednej nogi (ze względu na poziom), ale kol. Brzechwa sądzi głównie według listy obecności na warszawskiej sekcji satyry, bo jako jej przewodniczący tę listę sprawdza. A przecież w istocie jest ich więcej.

Następna charakterystyczna cecha tej Narady były... kuluary, kulis... kuchnia... jak kto woli. Każda narada ma kuluary. Ale nie na każdej powstają kalambury, nie na każdej krąży wierszowane utwory o charakterze łagodnej złośliwości, co niewyrobieni również podciągają pod miano satyry.

Tak więc gdy jeden z kolegów nie odznaczający się żelazną konsekwencją w spojrzeniu na różne zagadnienia przemawiał, a potem była przerwa, ktoś z kolegów powiedział: „Dobrze, że przerwa, może zmienić zdanie”. N. to drugi się odezwał: „Nie ma znaczenia, on zmienia zdanie bez przerwy”. A jeden z kolegów krakowskich zauważył, że warto było przyjeżdżać, bo to „d a r m o z j a z d”.

Poza tym u satyryków, tak jak u innych nie satyryków, poczucie humoru kończy się w chwili kiedy się zaczyna mówić... o nas samych. Tak jak i inni zrobiliśmy ogromny krok w kierunku zrozumienia twórczej roli krytyki... pod warunkiem, by nie tyczyła nas

osobiście. Zauważano więc w kuluarach wiele objawów dobrego znoszenia krytyki tylko z komentarzem w rodzaju: „On tak mówi dlatego, bo żona jego kuzyna ma jednego, który ma zamiar napisać satyryczny scenariusz”. Świadczy to o wyjątkowej giętkości umysłu i zdolności kojarzeń.

Oprócz takich postaw można było zaobserwować na Naradzie kompleksy terenowe. Powtarzały się żartobliwie kpiące: „No cóż, my z prowincji” i odwrotnie: kompleksy zwiększonej wartości „terenowej”... „Cóż wy o nas wiecie”.

Zarzucono więc, że trudno przedostać się nowym kadrom, że mówiąc najbardziej wulgarnie i skrótowo w „Szpilkach” ważni i umieszczają swoje. Ten rodzaj zarzutów, niezależnie od stopnia ich prawdziwości, nie byłby istotny, gdyby uznano, że ci co nie zawsze odpowiadają na listy i co są ważni sami dobrze piszą i dobrze rysują. Ale niestety Narada wykazała, że z tym pisanem wcale jeszcze nie jest dobrze i to nie dlatego, że z reguły nie umiemy, tylko, że i tu należy szukać przyczyn faktu, że istotnie dużo się mówiło o „Szpilkach” i teatrach satyrycznych (w „Szpilkach” i teatrach satyrycznych skupiają się wszystkie błędy naszej satyry w ogóle). Zarówno wąskość tematyki jak i schematyczne ujęcia, jak igraszki formalne, jak uderzenia nie w tym kierunku, w jakim prowadzimy naszą walkę (według sformułowania kol. Lipka).

Nie przypadkowo Ludwik Maj, korespondent z Podhala, mówił o tym, że w czasie zakładania spółdzielni produkcyjnej chałupa jego zamieniła się w poligon, a cała wioska w pole walki. Był to głos z te-

satyry i kiedy kol. Wiktorczyk mówił o tym, że niektórzy jego kole-dzy przenieśli się tematycznie zale-dwie od kawiarni Marica do kawiarni Stowarzyszenia Dziennikarzy, miał zapewne na myśli analogiczne „przeniesienia” w terenie. Podobno jest taki jeden, który siedzi w głębokim terenie w Mszanie Dolnej i wcale nie potrafi pisać o naszym życiu i jest taki inny w Warszawie, który przychodził w Warszawie do kawiarni... i też nie



Leon Pasternak

potrafi. A jeśli na domiar tej niesłychanie skomplikowanej sytuacji zdamy sobie sprawę, że w Warszawie jest Żerań, buduje się Pałac Kultury, i pracuje około 200.000 robotników, to zrozumiemy taką dziwną rzecz, że w Warszawie też jest teren i nie należy czynić sztucznych podziałów. A jak słusznie powiedział kol. Skulska, zarówno w Bytomiu jak i w Warszawie bardzo jest dobrze czytać prasę codzienną, gdzie można spotkać kopalnie tematów, bo jak powiedziała kol. Terelichowska — nasza wieś już bardzo dobrze rozumie Mickiewicza, ale jeszcze nie rozumie Mickiewicza.

Jeśli jeszcze przy tych stołicowatych rozważaniach przypomni sobie drobny fakt, że pewien kolega mieszkający przy fabryce „Pafawag” we Wrocławiu wziął tak zwaną „przepustkę w życie” ze Związku Literatów i pojechał do stoczni Gdańskiej, teren, to zrozumiemy, że jest tak, jak pięknie sformułował kol. Grunwald, że żadna epoka nie miała tylu możliwości dla rysownika (i dla pisarza), że wszystko jest źródłem przeżyć i niedostrzegania tego, co jest obok nas, należy do tych skostnień, o których wspominał Jan Kott, a tyczy się pisarzy zarówno w Warszawie jak i w Bytomiu, w Mszanie Dolnej, a nawet w Skromnej Miłosnej.

Użyłam terminu „pisarze”, bo proszę sobie wyobrazić, że Narada udowodniła niezbicie, że satyrycy są także pisarzami. (Kto nie wierzy może zajrzeć do stenogramu).

Mówienie o wadach naszej satyry na przykładach „Szpilek” i teatrów satyrycznych ma — jak sądzę — ponadto tę zaletę, że w przeciwnieństwie do rozmów „atmosferycznych” miało tę zaletę, że mówiono o satyrze na konkretnych przykładach. Wydaje mi się, że to jest raczej osiągnięciem Narady. A jeśli tak nie jest, to w każdym razie, jak mi się wydaje, kokietowanie „terenu” nie załatwi naszych bolączek w satyrze, nie przyczyni się do uduchowania atmosfery i sądzę, że nie należy uważać, że się ma monopol na troszczenie się o sprawy ogólne, jak to czyni kol. Dygat na swoich łamach, szkoda, że... po Naradzie.

Narada wykazała (wypowiedź kol. Spiewaka i innych), że mimo niewątpliwie potrzeb małej formy należy walczyć o nią i co jest bezspornym błędem „Szpilek” nie drukować tematów „odfajkowanych”, lecz istotnie dobre.

Narada udowodniła, że — według słów Brzechwy — satyra nie jest ani tak zła, ani tak dobra, jak my uważamy.

Narada sprecyzowała rolę śmiechu i humoru i przyczyniła się do wyjaśnienia wielkiego „mętluku”, jaki w tej sprawie panował.



Zbigniew Mitzner

Narada zajęła się sprawą komunikatywności, o czym podejmując słowa Majki powiedziała Stojmiska: „Tej sprawie poświęćmy cały swój sercem”. Sprawie podchodzenia do góry odbiorców naszej satyry.

Narada zakończyła się uchwaleniem rezolucji. Ta rezolucja, jak i cały dorobek (tak jest: dorobek!) Narady oczekuje szybkiego przedstawienia na sekcje Dorobek jest tak ciekawy, że co śmielsi satyrycy sądzą, że powinien stać się przedmiotem zainteresowania ciał kierowniczych naszych związków twórczych. Może mają rację!

Krystyna Żywulska

Fraszki z Narady

TADEUSZ POŁANOWSKI

DIAGNOZA

Cóż z tą satyrą? — ktoś zapyta.
Kuleje, a w czym sedno?
Satyry miały dwa kopyta.
A nasza — wciąż na jedno.

O PEWNYM PRZEMÓWIENIU

Mnóstwo „dialektycznych” guseł,
A publiczność śpi jak suszeł.

SEKRET MÓWCY

Wychodzi na mównicę znajomy gaduła
I nagle w jego głosie słyszysz pasję szczera.
Zamiast głądzić jak zwykle mówi jak Cicero.
O jedno trzymam zakład: że pro domo sua.

O TEATRZE „SYRENA” PO PREMIERZE
„Z ZEGARKIEM W RĘKU”

Choć krytyka z dnem każdym przybiera na sile,
Dziwny to jest „zegarek”: ma wskazówkę w tyle.

BUNDESTAG ŚPIEWA

„WSZYSCY HITLEROWCY POWRÓCILI JUŻ”
(aluzja do piosenki „Alle Voegel sind schon da” —
„Wszystkie ptaszki już wróciły”)

Wszyscy hitlerowcy już wrócili
Po zimowym śnie
Już planują, konspirują, agituja,
Szepczą, intrygują, demonstrują
Budzą znowu Vaterland
W hałasie trąb i pieśń.

Ojciec, syn i dziadek —
Już wrócili, Hop-la-la!
Heil! Heil! Heil!

Wszyscy hitlerowcy już wrócili
Wszyscy hitlerowcy są już tu
Wodzowie oddziałów szturmowych,
Mordercy Żydów podejmują stary refren.

Ojciec, syn i dziadek —
Już wrócili, Hop-la-la!
Heil! Heil! Heil!

Tekst piosenki (przekład z angielskiego) zamieszczony przez jedno z pism amerykańskich przy rysunku satyrycznym, który reproduujemy obok.



z „Nebelspalter”



z „Neue Berliner Illustrierte”



Rys Karol Ferster

Redaguje Zespół

Adres redakcji: Warszawa, ul. Żurawia 32, I p Tel. 8-86-11 Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska 12 tel. 8-00-81

Wydaje RSW „Prasa”

Kolportaż P P K „Ruch”, Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804 20 do 25 Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4 60, kwartalnie zł 13 80, półrocznie zł 27 60, rocznie zł 55 20 Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejski Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa” Warszawa, Poznańska 38, konto PKO 1 5589 111, tel. 738 05 Rękopisy niezamawionych redakcja nie zwraca

Zakłady Drukarskie i Wkleśtodrukowe RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5.

4-B-14290